

RABINDRA NATH TAGORE



CIEMNEJ KOMNATY

KSIĘGARNIA, 2370
SPOLSZCZYŁ
SEWERYN ZAUSMER

NOT. CEYTELKA
dowdy

A. G. SYRKIN
Wino, ul. Wielka № 49

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

LWÓW SPÓŁKA NAKŁADOWA »ODRODZENIE« 1921.



286530

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0173052

W/198/05p

Zugelassen — Leista
Zezwolono
1942 RUGP 11.

Gościniec.

Kilku podróżnych i stróż miejski.

Pierwszy człowiek: Człowiecze!

Stróż miejski: Czego chcecie?

Drugi człowiek: Którędy mamy iść?
Jesteśmy tu obcy. Proszę Cię, powiedz nam, która
droga zaprowadzi nas do celu.

Stróż miejski: A dokąd to chcecie się
udać?

Trzeci człowiek: Tam, gdzie ma się
odbyć wielka uroczystość. Która droga nas tam
zawiedzie?

Stróż miejski: Wszystkie drogi są tu
sobie równe. Każda droga Was tam zawiedzie.
Idźcie przed siebie, a z pewnością nie ominiecie
tego miejsca.

(Odchodzi).

Pierwszy człowiek: Posłuchajcie tylko,
co ten osieł plecie: „Każda droga Was tam za-
wiedzie!” Poco w takim razie aż tyle dróg?

Drugi człowiek: Nie dziw się temu
tak bardzo mój przyjacielu. Każdy kraj może się
przecież tak urządzić, jak mu jest najwygodniej.

A jeżeli mowa o gościńcach w naszym kraju, to rzecz ma się tak, jakgdyby ich wcale nie było; ciasne, kręte uliczki, istny labirynt zaułków i przecznic. Nasz król nie ma zaufania do otwartych gościńców; wychodzi bowiem z założenia, że czem więcej jest dróg w kraju, tem więcej mają jego poddani sposobności, by uciec z jego kraju. Tutaj jest wprost przeciwnie; nikt tu nikomu nie przeszkadza, nikt niema nic przeciw temu, ażeby każdy poszedł sobie tam, dokąd mu się żywnie podoba; a nikomu przecież nie śni się nawet, ażeby to państwo opuścić. Jesliby u nas były takie gościńce, wyludniłby się nasz kraj niezawodnie w najkrótszym czasie.

Pierwszy człowiek: Mój kochany Janardanie, od dawna jestem przekonany, że to główna wada Twego charakteru.

Janardan: Co takiego?

Pierwszy człowiek: Że zawsze masz swojemu krajowi coś do zarzucenia. Nie rozumiem, jak możesz utrzymywać, że otwarte drogi mogą być pożyteczne dla kraju? Patrz Kaundiljo, oto człowiek, który utrzymuje, że otwarte drogi są zbawienne dla kraju.

Kaundilja: Nie potrzebuję chyba powtarzać, Bawadatto, że Bóg obdarzył Janardana wypaczonym umysłem, który zawiedzie go niewątpliwie na szubienicę. Król zaś niemało się na-

trudzi, nim znajdzie kogoś, kto zechce zająć się pogrzebem tego lubego chłopysia.

Bawadatta: A jednak nie mogę oprzeć się uczuciu, że życie w tym kraju stać się musi z czasem niezmiernie przykre; człowiek zaczyna tęsknić za przyjemnościami samotności — to wieczne pchanie się i ocieranie się o obcych ludzi wzbudza w człowieku pragnienie kąpieli. W dodatku nie można się nigdy upewnić, z co za rodzajem ludzi zetknie się człowiek na tych drogach publicznych — hu!

Kaundilja: Oczywiście, że Janardan był tym, co nas namówił ażebyśmy się udali do tego wspaniałego kraju! Nie było nigdy w naszej rodzinie nikogo, kto byłby do niego podobny. Znałeś przecież mego ojca; o, to był wielki człowiek, tak pobożny człowiek, że nie miał sobie równego. Całe swe życie spędził w obrębie koła o promieniu 49 łokci, zakreślonego jak najdokładniej według przepisu świętych pism; nie przestąpił nigdy tego koła, chociażby na jeden dzień. Po śmierci jego zrodziła się poważna trudność — mianowicie, jakby go spalić w obrębie 49 łokci, a przecież poza obrębem domu. Ostatecznie postanowili kapłani, że nie wolno wprowadzić przekroczyć świętej liczby, że istnieje jednak wyjście z tej trudności, a mianowicie należy cyfrę odwrócić i wziąć 94 łokci; bo tylko w ten sposób będziemy mogli pogrzebać go poza domem, nie

naruszając przepisów świętych ksiąg. To jest, mojem zdaniem, dokładne wypełnienie! Nasz kraj nie jest rzeczywiście bylejaki.

B a w a d a t t a: A przecież, mimo iż Janardan jest synem tej samej ziemi, co my, uważa za stosowne twierdzić, że wolne drogi, to rzecz najpożyteczniejsza dla kraju.

Obcy odchodzą

Występuje dziadek wraz z gromadą chłopców.

D z i a d e k: Chłopcy, pójdziemy dzisiaj w zawody z dzikim wiatrem południa, nie damy mu się pokonać. Będziemy śpiewać tak długo, dopóki radość nasza nie udzieli się wszystkim ulicom.

Pieśń.

Brama południa stoi otworem. Ukaż się wiosno,
[ukaż!
Ażeby serce me rozkołysać, ukaż się wiosno,
[ukaż!
W szumie liści się ukaż; w niewinnej kwiato-
[ofierze,
W pieśni fletniej się ukaż i w lasu tęsknem
[westchnieniu!
Rozpuść swe szaty, ażeby wiatr niemi się bawił!
Ukaż się wiosno, ukaż!

Odchodzą

Występuje gromada obywateli.

P i e r w s z y o b y w a t e l: Właściwie nie byłoby wcale nieszczęścia, gdyby król był raczył przynajmniej dzisiaj się zjawić. Co za pech żyć w tem królestwie i nie widzieć go ani razu.

D r u g i o b y w a t e l: Czy znany Ci jest istotny powód tej zagadki? Gdybym wiedział, że potrafisz milczeć, zdradziłbym go.

P i e r w s z y o b y w a t e l: Kochany przyjacielu, mieszkamy obydwaj w jednej i tej samej dzielnicy, a czy słyszałeś kiedy, żebym wypaplał jakąś tajemnicę? No, odnośnie do sprawy z tym skarbem, który odnalazł Twój brat przy kopaniu studni — wiesz chyba dobrze, dlaczego musiałem o tem mówić. Znasz przecież wszystkie okoliczności, które się na to złożyły.

D r u g i o b y w a t e l: Tak, znam je. I właśnie dlatego, że znam je, pytam się Ciebie, czy potrafisz milczeć, jeżeli Ci to opowiem. Zrozum, że najmniejsze słowo może pociągnąć za sobą dla nas wszystkich jak najprzykrzejsze skutki.

T r z e c i o b y w a t e l: Wiesz, tak na ogół wzięwszy, miły z Ciebie jest człowiek, Wirupakszo! Dlaczego koniecznie chcesz sprowadzić nieszczęście, które dotychczas leży jedynie w obrębie możliwości? Kto zechce przyjąć na siebie obowiązek, nosić się całe życie z Twą tajemnicą?

W i r u p a k s z a: To wszystko tylko dlatego, ponieważ rozmowa zesłała na fałszywe tory —

a zresztą nie powiem. Nie należę do tych ludzi, co mówią tylko po to, by mówić. Sami przecież pytaliście się, dlaczego król nigdy się nie ukazuje, ja zaś zauważyłem tylko, że to nie jest całkiem bez ale, że król tak unika oczu ludzkich.

Pierwszy obywatel: Proszę Cię, Wirupakszo, powiedz nam, dlaczego.

Wirupaksza: Owszem, powiem Wam, jesteśmy wszakże dobrymi przyjaciółmi, nieprawdaż? To chyba nie pociągnie za sobą przykrych następstw. (*Cicho*). Król — jest brzydki, i dlatego postanowił nie ukazywać się nigdy swoim poddanym.

Pierwszy obywatel: Aha! Tu sęk! Od dawien dawna dziwiliśmy się... wszak sam widok króla przyprawia ludzi w innych krajach o drżenie na kształt osiki; dlaczegożby tedy nikt nie miał widzieć naszego króla? Nawet gdyby wyszedł tylko po to, by nas wszystkich kazać powiesić, mielibyśmy pewność, że nasz król to nie żaden koszmar. Jest dużo okoliczności, które przemawiają za słusznością wywodów Wirupakszy.

Trzeci obywatel: Ani się śni — nie wierzę w to wcale.

Wirupaksza: Jakto Wiszu, czy zarzucasz mi zatem, że kłamię.

Wiszu: Co to, to nie, nie mogę się jednak pisać na Twoje tłumaczenie. Wybacz, nie moja to wina, jeżeli wydają się nieco grubiański.

Wirupaksza: Nic dziwnego, że nie dajesz wiary moim słowom — skoro uważasz się za tak mądrego, by krytykować nawet zdanie Twych rodziców i przełożonych. Jak długo, sądzisz, mógłbyś przebywać w tym kraju, jeżeliby król nie pozostawał w ukryciu? Jesteś wstrętnym niedowiarkiem.

Wiszu: Ukochana podpora prawowierności! Czy Ci się nie zdaje, że każdy inny król kazałby Ci już dawno wydrzeć Twój język i rzuścić go na pożarcie psom? Ty zaś śmiesz jeszcze twierdzić, że nasz król jest obrzydliwy?

Wirupaksza: Słuchaj, Wiszu, czy przymkniesz Ty swoją gębę raz wreszcie na kłódkę?

Wiszu: Nie miałoby sensu zastanawiać się nad tem, czyją gębę wartoby zamknąć na kłódkę.

Pierwszy obywatel: Pst, kochani przyjaciele — to nie rokuje nic dobrego. Macie, zdaje się, wielki gust i mnie narazić na niebezpieczeństwo. A ja nie mam do tego najmniejszej ochoty.

Odchodzi

Występuje znaczna ilość mężczyzn, ciągnąca ze sobą gwałtem dziadka.

Drugi obywatel: Dziadku, coś mnie dziś niepokoi...

Dziadek: Co takiego?

Drugi obywatel: Tego roku wysłał każdy kraj swoich przedstawicieli na naszą uroczystość, a każdy z nich pyta: „Wszystko jest u was ślicznie i pięknie — lecz gdzie jest wasz król?” My zaś nie wiemy, co mamy im na to odpowiedzieć. To jest próżnia, która zawiewa każdego w naszym kraju pustką.

Dziadek: „Próżnia“, powiadasz! Jakto, cały kraj jest wszakże pełny, naładowany, nasycony wprost królem; a Ty to zowiesz „pustką!” Jakto, przecież uczynił on każdego z nas koronowanym królem.

Śpiew

Krółami wszyscy jesteśmy w naszego króla

[królestwie,

Bo gdyby inaczej być miało, jakbyśmy się mogli

[spodziewać, iż go kiedyś spotkamy!

Czynimy co chcemy, czyniąc, czego on pragnie;
I nie przykuwa nas łańcuch obawy do stóp

[niewolników króla,

Bo gdyby inaczej być miało, jakbyśmy się mogli

[spodziewać, iż go kiedyś spotkamy!

My walczyliśmy i drogę sobie torujemy, by jego drogę

[osiągnąć.

Bo gdyby inaczej być miało, jakbyśmy się mogli

[spodziewać, iż go kiedyś spotkamy!

Trzeci obywatel: Rzeczywiście, brzy-

dzi mnie już cała ta gadanina o naszym królu, spowodowana tem tylko, że nie chce ukazać się oczom tłumu.

Pierwszy obywatel: Przedstawcie sobie tylko! Każdego, który mnie obrazi, można ukarać, podczas gdy nikt nie może zatkać gęby takiemu gałganowi, któremu zachciewa się lżyć króla.

Dziadek: To gadanie nie może wcale obrazić króla. Jednem dmuchnięciem możemy zgasić płomień, zapożyczony przez lampę od słońca, lecz jeżeliby nawet cały świat usiłował gasić słońce, nie potrafiłby zmniejszyć i zaciemnić jego promiennego blasku.

Występują Wiszwawasu i Wirupaksza.

Wiszu: Oto jest dziadek! Pomyśl sobie, ten człowiek łązi wszędzie i rozpowiada każdemu, że nasz król nie wychodzi tylko dlatego, ponieważ jest brzydki.

Dziadek: Dlaczego złości Cię to, Wiszu? Jego król musi być brzydki, bo jakimże cudem mógłby mieć Wirupaksza taką twarz w jego królestwie? Kształtuje tylko swojego króla na swoje podobieństwo odbite w zwierciadle.

Wirupaksza: Dziadku, nie chcę wymieniać nazwisk, nikt jednak nie będzie sobie lekceważał tej osobistości, która mi powierzyła tę tajemnicę.

Dziadek: Któżby mógł być wybitniejszą osobistością od Ciebie!

Wirupaksza: Mogłbym Ci dostarczyć na to dowodów...

Pierwszy obywatel: Bezczelność tego człowieka nie zna granic! Nie dość, że się odważa rozgłaszać wstrętne plotki, chce je jeszcze kłamstwami udowodniać.

Drugi obywatel: Moglibyśmy mu dać dowód na jego skórze!

Dziadek: Nie gorączkujcie się tak, moi przyjaciele! Biedaczysko urządza sobie święto w ten sposób, że głosi brzydotę swego króla. Idź tylko dalej, Wirupakszo, a znajdziesz moc ludzi, którzy Ci uwierzą! Życzę Ci dużo szczęścia do Twego nowego towarzystwa.

Odchodzą

Występuje znowu towarzystwo, złożone z obcych.

Bawadatta: Odnoszę wrażenie, że ten lud niema wcale króla. Przy pomocy różnych machinacji puszczono tylko taką plotkę w obieg.

Kaundilja: Zdaje mi się, że masz słusność. Wiemy przecież wszyscy, że to, co jest najwyższe w kraju, wpada zaraz w oczy, a ponieważ tem jest król, nie pomija on zazwyczaj żadnej sposobności, by się ukazać swemu ludowi.

Janardan: Patrzcie tylko, co za porządek i ład tu panuje — jak wytłumaczyć to bez istnienia króla?

Bawadatta: A więc to jest ta mądrość, do której doszedłeś, mimo, że żyłeś tak długo w państwie, rządzonym przez monarchę? Jak uzasadnisz wobec tego potrzebę króla, jeżeli ład i porządek istnieją same z siebie?

Janardan: Wszyscy ci ludzie zgromadzili się tutaj, ażeby weselić się podczas uroczystości. Czy sądzisz, że moglibyśmy zejść się tak w kraju, w którym panoszy się bezrząd?

Bawadatta: Mój kochany Janardanie, omijasz jak zwykle to, o co w rzeczywistości chodzi. Nie da się zaprzeczyć, że panuje tu ład i porządek; także i radość ze święta jest widoczna. Stwierdzenie tego, nie nastęrcza nam żadnych trudności. Lecz gdzie jest król? Czyś go widział? To nam powiedz!

Janardan: Mogę wam na to tylko tyle powiedzieć: wiemy z doświadczenia, że bezład i bezrząd powstać mogą nawet tam, gdzie władza król; a co tutaj widzimy?

Kaundilja: Zawsze musisz wyleźć z swojemi wykrętami. Dlaczego nie odpowiadasz na pytanie Bawadatty prosto z mostu. Widziałeś króla, czyś go nie widział! Tak czy nie?

Odchodzą

Występuje gromada mężczyzn i śpiewa.

Pieśń

Mój kochanek mieszka w sercu mego głębiach,
Dlatego widzę go wszędzie,
Mój kochanek mieszka w oczu moich toniach
Dlatego widzę go wszędzie.
Szłam daleko, ażeby słów jego posłuchać muzyki,
Nadarmo, niestety!
Lecz kiedy wracałam, w mych pieśniach powstała.
Kim jesteś, co od drzwi do drzwi wędrując, jak
[żebrak go szukasz.
Wnijdź w moje serce i ujrzyj jego oblicze, w łzach
[moich oczu skąpane

Występują heroldowie i strażnicy królewscy.

Pierwszy herold: Ustąpcie się i opuśćcie natychmiast ulicę!

Pierwszy obywatel: Oho, człowiecze, za dużo sobie pozwalasz! Zdaje mi się, że przychodząc na świat, nie przyniosłeś ze sobą tego dumnego kroku, tak, czy nie, mój stary? Dlaczego mielibyśmy się ustąpić, wielce szanowny Panie? Dlaczego mielibyśmy się stąd wynieść? Nie jesteśmy wszak psami, wałęsającymi się po ulicy, lub czemś w tym rodzaju?

Drugi herold: Król przejdzie tą drogą.

Drugi obywatel: Król, co za król?

Pierwszy herold: Nasz, król, król tego kraju.

Pierwszy obywatel: Co, czy ten człowiek oszalał? Czy słyszał ktoś z was kiedy, ażeby nasz król wyszedł, a w dodatku oznajmiał to jeszcze hałaśliwie przy pomocy takich krzykaczy.

Drugi herold: Król pragnie ukazać się swoim poddanym. Przychodzi, by osobiście kierować uroczystością.

Drugi obywatel: Naprawdę?

Drugi herold: Przypatrz się, tam trzepoce się w powietrzu jego proporzec.

Drugi obywatel: Ah, istotnie, to jest chorągiew.

Drugi herold: Czy widzisz na niej kwiat kimszuku?

Drugi obywatel: Tak, tak, to rzeczywiście kimszuk! Co za przepysznie mieniący się kwiat szkarłatu!

Pierwszy obywatel: No, a teraz, czy już nam wierzysz?

Drugi obywatel: Nigdy nie twierdziłem, że wam nie wierzę. Ten człowiek oto, Kumba, jest sprawcą tego całego rwetesu. Czy rzekłem chociażby słówko?

Pierwszy herold: Ma on wprawdzie gruby brzuch, wewnątrz jest za to pusty; wiesz przecież, że pusty czerep dudni najgłośniej.

Drugi herold: Co to za człowiek? Czy ktoś z was jest z nim spokrewniony?

Drugi obywatel: Ale gdzież tam. Jest on bratem stryjecznym teścia naszego sołtysa i nie mieszka nawet w tejsamej części wsi, co my.

Drugi herold: Całkiem słusznie! Wygląda on bowiem, jak brat cioteczny siódmego stopnia czyjegoś kuma, a rozum ma, jak gdyby był szwagrem swojego wuja.

Kumba: Ach, drodzy przyjaciele, pod wpływem nie jednej troski stał się mój biedny rozum taki, jakim jest obecnie. Dopiero niedawno temu pojawił się jakiś król, chełpił się po ulicach i wykrzykiwał tak głośno swoje tytuły, jak doborczy, jaki, który swem ustawicznym bębnieniem obrzydza wszystkim mieszkańcom miasto... Czego nie czyniłem, by być mu usłużny i mu się przypodobać! Zasypywałem go podarunkami, przyczepiłem się do niego, jak żebrak — by wreszcie dojść do przekonania, że to zbyt obciąża moją kieszeń. A jaki był koniec całej tej wspaniałości? Kiedy lud zażądał od niego darów, nie mógł on odkryć w kalendarzu ani jednego dnia odpowiedniego na ten cel; mimo, że uważał każdy dzień za pomyślny i odpowiedni, w którym mieliśmy mu płacić podatki!

Drugi herold: Czy chcesz dać przez to do zrozumienia, że nasz król jest fałszywym królem, tak, jak ten, którego dopieroco opisałeś?

Pierwszy herold: Panie wuju swojego szwagra, zdaje mi się, że już najwyższy czas, abyś powiedział do widzenia cioci szwagra.

Kumba: Panowie, proszę was, nie złościćcie się tylko. Proszę panów, jestem ku memu wielkiemu żalowi, ot sobie takim nędznym stworzeniem. Jestem gotów zabrać się stąd każdej chwili i pójść tam, gdzie mi każecie.

Drugi herold: Mniejsza o to, chodźcie tutaj i urządzcie szpaler. Król zaraz nadejdzie, my zaś pójdziemy, by przygotować dlań drogę.

Idą przed siebie.

Drugi obywatel: Mój drogi Kumbo, mój długi język zaprowadzi Cię kiedyś jeszcze na szubienicę.

Kumba: Przyjacielu Madhawo, nie będzie temu winien mój język, lecz los mój. Kiedy wystąpił fałszywy król, nie rzekłem ani słowa jakkolwiek kroczyłem nadal swą drogą, ufny w niewinność. A teraz, kiedy przyszedł może nawet i prawdziwy król, coś mię zmusza do tego, ażebym wypowiadał myśli, zakrawujące na zdradę stanu. Taki jest już mój los, kochany przyjacielu.

Madhaw: Co do mnie, to trzymam się zasady, by być posłusznym każdemu królowi — nie wdając się w to wcale, czy jest on prawdziwy, czy też nie. Czyli coś wiemy o królach, ażebyśmy mogli o nich wydawać sądy! Jest to ta sama



historja, co z rzucaniem kamieniami w ciemności — zawsze jest się pewny, że trafi się. Słucham zawsze i składam hołd — jeżeli król to prawdziwy, to dobrze, jeżeli nie, co mnie to obchodzi?

K u m b a: Nie troszczyłbym się o to wcale, gdyby kamienie miały tylko tę właściwość, że są kamieniami. Często są to jednak klejnoty; tutaj zresztą, jak i gdzieindziej wie dzie wyuzdanie ku nędzy, mój przyjacielu.

M a d h a w: Patrz! Oto król! W każdym calu król! Co za postać! Czy oglądały czyjeś oczy taką piękność, — biały jak lilja, gibki jak śmietana! Cóż ty na to, Kumbo? Co teraz o tem sądzisz?

K u m b a: Wygląda rzeczywiście przyzwoicie — ostatecznie może nawet i jest prawdziwym królem.

M a d h a w: Wygląda tak, jak gdyby był stworzony na to, by być królem. Jego postać jest zbyt wytworna i subtelna, jak na zwykłego śmiertelnika.

Występuje król

M a d h a w: Niech szczęście idzie Twym śladem, o królu! Stoimy tu od wczesnego ranka, by oczy nasze nasycić Twoim widokiem. Nie zapomnij o nas, gdy będziesz wyświadczał łaski.

K u m b a: Tajemnica się pogłębia. Pójdę i zawołam dziadka.

Odchodzi.

Występuje gromadą mężczyzn.

P i e r w s z y m ęż c z y z n a: Królu, królu! Bieście tu szybko, król kroczy tą drogą.

D r u g i m ęż c z y z n a: Niezapomnij o mnie, królu! Jestem Wiwajadatta, wnuk Ujadatty z Kusalawastu. Pospieszyłem tutaj na pierwszą wieść o Twoim przybyciu — nie starczyło mi to, co ludzie będą mówić o Tobie, wszystkie moje wier-nopoddańcze uczucia skierowałem w Twą stronę i przyszedłem tutaj.

T r z e c i m ęż c z y z n a: Głupie gadanie! Byłem tu wcześniej od Ciebie, bo jeszcze o świ-cie. A gdzieś Ty był wtedy? O, królu, jestem Badrasena z Wikramastali. Racz zapamiętać sobie swojego sługę.

K r ó l: Raduje mnie bardzo wasza wierność i przywiązanie.

W i w a j a d a t t a: Wielka jest ilość skarg i zażaleń, które pragniemy złożyć u stóp Two-jego tronu; do kogo bowiem mieliśmy się zwrócić z naszymi prośbami, skoro nie wolno nam było stanąć przed Twojem najjaśniejszem obliczem.

K r ó l: Wszystkim waszym prośbom stanie się zadość.

Odchodzi.

P i e r w s z y c z ł o w i e k: Niema sensu, moi drodzy, stać gdzieś daleko w tyle; jeżeli bę-

dziemy stać pomiędzy tłumem, król nas nie zauważy.

D r u g i c z ł o w i e k : Patrzenie, co ten dureń Narottan tam wyprawia? Wypchał się na sam przód i wachluje teraz króla liściem palmowym, broniąc go w ten sposób od skwaru.

M a d h a w : Daję słowo! Bezgraniczna śmiałość tego człowieka wprawia mnie w zdumienie.

D r u g i m ęż c z y z n a : Powinniśmy tego draba chwycić za kark i stąd go wyrzucić — bo dlaczego on właśnie ma stać obok króla?

M a d h a w : Czy wmawiasz sobie może, że król go nie przeziiera? Jego uniżoność jest zbyt jaskrawa i przesadna.

P i e r w s z y m ęż c z y z n a : Nonsens! Królowie czują do obłudników taki sam wstręt, jak i my — nie dziwiłbym się wcale, gdyby król poszedł na lep tego nieznużonego wachlowania. (*Występuje Kumba i dziadek*). Właśnie przeszedł teraz ulicą — powiadam Ci.

D z i a d e k : Czy to ma być nieomylnym dowodem godności królewskiej?

K u m b a : Co to, nie; nie przyszedł on nie-spostrzeżenie; nie ten lub tamten, lecz setki, tysiące ludzi, ustawionych po obu stronach ulicy, widziały go na własne oczy.

D z i a d e k : Właśnie to budzi podejrzenie. Czy nasz król usiłował kiedyś mamić oczy tłumy zbytkiem i wystawnością? Nie robi on nigdy takiego hałasu, podróżując po kraju.

K u m b a : Mógł jednak postąpić w ten sposób, z powodu tej ważnej uroczystości; tego nie można z pewnością wiedzieć.

D z i a d e k : Przeciwnie, to można bardzo dobrze wiedzieć! Mój król nie zmienia humorów, jak chorągiewka i nie uznaje żadnych dziwactw.

K u m b a : Ależ dziadku, chciałbym umieć opisać go słowami! Jest taki łagodny, taki delikatny, taki wytworny jak woskowa lalka! Kiedy go ujrzałem, zrodziło się we mnie pragnienie, by chronić go od słońca i bronić go, choćby kosztem krwi własnej.

D z i a d e k : Durniu! Istny osieł z Ciebie! Mój król miałby być lalką woskową, a Ty miałbyś go chronić.

K u m b a : Zapewniam Cię, dziadku, jest on jakoby wspaniały Bóg, cud piękności. Oko moje nie może odkryć w tem rojnym zgromadzeniu ani jednego człowieka, który dorównywa mu wdziękiem.

D z i a d e k : Jeżeliby mój król postanowił się nawet ukazać, nie spostrzegłbyś go z pewnością. Nie różniłby się bowiem zbyttnio od innych — pochodzi z ludu i przebywa między ludem.

K u m b a : Czy Ci nie powiedziałem, że widziałem jego proporzec!

D z i a d e k : Co za znak widniał na jego proporcju?

K u m b a: Czerwony kwiat kimczuku — jego promieniejący i mieniący się szkarłat olśniewał moje oczy.

D z i a d e k: Znakiem mojego króla jest topór, osadzony w lotosie.

K u m b a: A przecież wszyscy twierdzą, że król przybył na tę uroczystość, wszyscy bez wyjątku.

D z i a d e k: Owszem, z pewnością bierze w niej udział; lecz bez heroldów, wojska, orszaku, kapel i latarni, któreby szły ślad w ślad za nim.

K u m b a: W takim razie nikt, moim zdaniem, nie zdoła go rozpoznać w jego przebraniu.

D z i a d e k: Może jest kilku, którzy potrafią.

K u m b a: A tym, którzy umięją go poznać, czy użycza król wszystkiego, czego tylko pragną?

D z i a d e k: Oni nigdy niczego nie pragną. Żaden żebrak nieznał nigdy króla. Mniejszy żebrak jest w oczach większego żebraka królem. O głupcze, i tego człowieka, co szedł dzisiaj ulicą, przyodziany w purpurę i zdobny złotem, by prosić Cię o jałmużnę, jego to nazwałeś Twoim królem... O, oto zbliża się mój szalony przyjaciel! Chodźcie bracia, szkoda dnia na jałowe kłótnie i sprzeczki — weselmy się raczej jak dzieci, upojne zachwytem.

Wybiega szalony przyjaciel i śpiewa:

Weselicie się przyjaciele? Radujecie się bracia?
Uganiam, szukając złotego jelenia!

Ledwie go ujrzał, a już go nie było!

Pędzi gdzieś przed się błyskawicy lotem i już go
[niema, puszcz gońca!

Zbliż się doń tylko, a już Cię mgła prochu od
[niego oddziela

Uganiam przecież, szukając złotego jelenia, choć
[wiem, że go nigdy nie chwycę!

Uganiam, przez lasy się włóczę i pola i niwy
bezkresne, nie myśląc o tem, ażeby pogoni

[kiedyś zaprzestać.

Na rynek, na kupno wszyscy chodźcie i do dom
[wracacie, juczni towarem:

Mnie ale dotknęły wichry szalone z gór niebo-
[siężnych, całując me usta.

O nie znam, ni gdzie, ni kiedy,

Rzuciłem wszystko, co miałem, by to osiągnąć,
[co nigdy mojem nie było!

A wy sądzicie, że ja lży ronię nad straconemi
[rzeczami!

Serce mając radosne, weselne, gdzieś zostawiłem
[daleko za sobą smutek i żal

Uganiam, przez lasy się włóczę i pola i niwy
bezkresne, nie myśląc o tem, ażeby pogoni

[kiedyś zaprzestać.

II.

Ciemna sala.

Królowa Sudarszana. Jej dama dworu Surangama.

Sudarszana: Światła! Światła! Gdzie światło? Czy nigdy się lamp nie zapala w tej sali?

Surangama: Królowo moja, wszystkie pokoje są oświetlone — czy nie odczuwasz nigdy potrzeby schronić się przed światła jasnością do ciemnej sali?

Sudarszana: Dlaczego w tym pokoju zawsze musi być ciemno?

Surangama: Ponieważ inaczej nie potrafiłabyś rozróżnić światła od ciemności.

Sudarszana: Przez ciągły pobyt w tej ciemnej komnacie nauczyłaś się mówić dziwacznie Surangamo, tak, że nie mogę Ciebie zrozumieć. Powiedz mi, w której części pałacu leży ta sala? Nie mogę rozpoznać ni wejścia ni wyjścia z tej komnaty.

Surangama: Komnata ta leży głęboko, bo w samym osierdziu ziemi. Król zbudował ją umyślnie dla Ciebie.

Sudarszana: Istotnie, nie brak mu pokoi — Dlaczego zbudował właśnie komnatę mroku umyślnie dla mnie?

Surangama: Innych możesz spotykać w jasnych pokojach; Twojego zaś pana spotkać możesz jedynie w tej ciemnej komnacie.

Sudarszana: Nie, nie — nie mogę żyć bez światła — coś mnie niepokoi i dusi w tym mroku. Surangamo, jeżeli zdołasz wnieść światło w tę salę, Twoim będzie ten oto naszyjnik.

Surangama: Nie leży to w mojej mocy królowo! Jak mogę wnieść światło w miejsce, które on pragnie, by się gąrzyło w ciemności!

Sudarszana: Dziwna wierność, zaiste! Czy to nie prawda, że król ukarał Twojego ojca?

Surangama: Owszem, to prawda. Mój ojciec oddał się grze. Wszyscy młodzi ludzie zgromadzali się w domu mego ojca, gdzie pili i grali.

Sudarszana: Czy nie czułaś gorzkiego żalu do króla, za to, że wygnał Twojego ojca.

Surangama: O tak doprowadzało mnie to do wściekłości. Znalazłam się już na najlepszej drodze ku upadkowi i zgubie, a kiedy zamknęto mi tę drogę, zdawało mi się, że zostałam bez żadnej pomocy, bez opieki i przytułku. Szalałam, jak dzikie zwierzę, zamknięte w klatce — najchętniej byłabym w porywie bezsilnej złości rozdarła wszystko na drobne kawałki!

Sudarszana: A więc skąd nagle to wielkie przywiązanie do tego samego króla?

Surangama: Jakże mam Ci to wytłumaczyć. Może dlatego mogłam w nim znaleźć ostoję i poddać się jego woli, bo był tak twardy, tak niemiłosierny!

Sudarszana: Kiedy dokonała się ta zmiana u Ciebie?

Surangama: Tego nie mogę Ci powiedzieć — gdyż sama nie wiem. Pewnego dnia poczułam, że wszystko, co się wemnie buntowało, ucichło, a wtedy cała moja istota pochyliła się kornie w oddaniu, bijąc czołem o proch ziemi. A później dostrzegłam... dostrzegłam, że jego piękność jest tak samo niezrównana, jak jego straszliwość! I wtedy uczułam żem uratowana i wybawiona.

Sudarszana: Błagam Cię, Surangamo, zechciej mi powiedzieć, jak król wygląda, do kogo podobny? Nie widziałam go jeszcze nigdy w dzień. Przychodzi do mnie zawsze nocą i pozostawia mnie zawsze w ciemnej sali. Wielu ludzi już o to pytałam — a oni wszyscy dają mi niejasne i niewyraźne odpowiedzi — odnoszę wrażenie, że coś kryją przedemną.

Surangama: Jeżeli mam Ci powiedzieć prawdę, to muszę przyznać, że nie potrafię określić do kogo on jest podobny. Nie — on nie jest piękny w powszechnym znaczeniu.

Sudarszana: To niemożliwe! On nie miałby być piękny!

Surangama: Nie, moja królowo, on nie jest piękny! To byłoby niewystarczające, gdybym go nazwała pięknym.

Sudarszana: Taki jest Twój sposób mówienia — niejasny, dziwaczny i niewyraźny. Nie mogę zrozumieć, do czego zdążasz.

Surangama: Nie, nie chcę nazwać go pięknym. I właśnie dlatego, że nie jest on piękny, jest on taki wspaniały, taki cudowny, niezmiernie cudowny.

Sudarszana: Nie rozumiem Cię całkiem dobrze — mimo, iż chętnie słucham słów Twoich. Muszę go jednak widzieć za wszelką cenę. Nie mogę przypomnieć sobie nawet dnia ślubu naszego. Słyszałam tylko, jak moja matka mówiła, że przed mojem weselem przyszedł jakiś mądry człowiek i rzekł jej: „Ten, który chce poślubić Twoją córkę, nie ma równego sobie na świecie“. Ileż to razy, błagałam ją, by mi opisała jego wygląd, lecz ona odpowiadała mi niewyraźnie, mówiąc, że mi tego nie może powiedzieć — widziała go przez zasłonę niejasno i niepewnie. Lecz skoro on jest najlepszym z ludzi, jakże mogłabym wytrzymać, nie widząc go.

Surangama: Czy nie czujesz delikatnego powiewu?

Sudarszana: Powiedz! Skąd?

Surangama: Czy nie dolatuje Cię zapach łagodny?

Sudarszana: Nie.

Surangama: Wielka brama stała otworem... zbliża się; mój król nadchodzi.

Sudarszana: W jaki sposób poznajesz, kiedy nadchodzi?

Surangama: Nie mogę Ci tego powiedzieć; jest mi tak, jak gdybym słyszała stąpanie jego kroków w mem sercu. Ponieważ jestem służebnicą ciemnej komnaty, wyczulił się we mnie ten zmysł — mogę go poznać i czuć, nie widząc go wcale

Sudarszana: Chciałabym posiąść również ten zmysł, o Surangamo!

Surangama: Posiedziesz go, o królowo — pewnego dnia obudzi się zmysł ten i w Tobie. Tęsknota za jego widokiem odbiera Ci spokój. O niczem innym nie myślisz. Wszystkie Twoje pragnienia są tylko w jedną stronę zwrócone. Jeśli przejdzie u Ciebie ten stan gorączkowy, wszystko z łatwością przyjdzie samo z siebie.

Sudarszana: Jakim sposobem przychodzi Ci to tak łatwo, mimo, żeś służebnicą, a mnie tak trudno, mimo, iż jestem królową?

Surangama: Właśnie dlatego, żeś służebnicą nie natrafiam na żadne przeszkody. A kiedy pierwszego dnia powierzył mojemu staraniu tę salę i rzekł: „Surangamo, komnatę tę będziesz trzy-

mała w ustawicznym pogotowiu dla mnie, oto Twoje zadanie“, wtedy nawet przez myśl nie przeszło mi odrzec: „Powierz mi raczej pracę tych wszystkich, których zadaniem dbać jest o światło dla innych Twoich pokoi“. Nie, skoro raz oddałam się memu zadaniu, powstała moc we mnie jakowaś, wybujała i o władnęła następnie każdą cząstką mej jaźni. O, otóż i on, już stoi za bramą. Panie! Królu!

Śpiew z zewnątrz

Rozewrzyj swe bramy. Czekam.

Prom światła okrąg opuścił i w ciemność spocząć odpłynął.

Gwiazda wieczorna świeci na niebie.

Czyś kwiaty zładziła, czyś splotła już kosy,

Czy suknia nocna Twą kibic bielą otacza?

Bydło wróciło do stajni, do gniazd swoich ptaki.

Kręte ścieżki, co w prawo i lewo nas wiodły,

[w mroku się w jednię stopiły.

Rozewrzyj swe bramy. Czekam.

Surangama: O królu, któżby się ważył Twą własną bramę zamykać? A gdyby wrota były nawet zabite, ustąpiłyby przecież pod Twego palca najłżejszym dotknięciem. Czy nie chcesz ich dotknąć? Czy nie chcesz wejść, nim ja nie pójde i nie otworzę Ci bramy?

Ś p i e w

Jednem Twem tchnieniem rozchylić możesz moje

[zasłony, o Królu!

A jeśli w prochu ja usnę i Twe mnie nie dojdzie

[wołanie, czy czekać będziesz, aż się obudzę?

Czy ziemia nie zadrży pod kół Twojego rydwanu

[dudnieniem?

Czy bramy nie zburzysz i jako intruz nie wej-

[dziesz do domu własnego?

Idź tedy królowo i otwórz bramę; inaczej
bowiem nie wejdzie.

S u d a r s z a n a: Nie widzę dobrze w ciemności — nie wiem, gdzie brama. Ty znasz tu każdy kąt — idź i otwórz drzwi za mnie.

(Surangama otwiera drzwi, kłania się nisko królowi i wychodzi. Król pozostaje przez cały czas niewidoczny).

S u d a r s z a n a: Dlaczego nie chcesz zezwolić bym Cię ujrzała w światła promieniach?

K r ó l: A więc chcesz mnie ujrzeć pośród tysiąca rzeczy przeróżnych w dnia świetle! Dlaczegożbym nie miał być tym jedynym, którego byś mogła odczuć w tej właśnie ciemności?

S u d a r s z a n a: Ależ ja muszę Cię ujrzeć — pałam żądzą Twojego widoku.

K r ó l: Nie zniesiesz mego widoku — sprawi Ci ból to jedynie, ból żrący, przemożny ból.

S u d a r s z a n a: Jak możesz twierdzić, że nie potrafię znieść Twego widoku! O, nawet w tej oto ciemności czuję wdzięk Twój i urok. Dlaczego miałabym się przerazić, gdybym ujrzała Cię w świetle? Powiedz mi jednak, czy możesz mię widzieć w ciemności.

K r ó l: Tak, mogę.

S u d a r s z a n a: Co widzisz?

K r ó l: Widzę, że ciemność bezkresnych niebiosów, żywiona potęgą mojej miłości wsiała światło gwiazd niezliczonych i kształt przyjęła. A w tym kształcie cielesnym, ileż to mieszka eonów myśli i walki, niezaspokojonych tęsknot, bezgranicznych pałaców niebieskich, jaki ogrom zewsząd zebranych darów, wynurzających się z czasu otchłani.

S u d a r s z a n a: Czy jestem zaiste tak piękna, tak cudna? Gdy słyszę Twe słowa, nabrzmiwa me serce radością i dumą. Jakże mam jednak uwierzyć w te rzeczy cudowne, o których Ty mówisz? Nie mogę znaleźć ich w sobie!

K r ó l: Twe własne zwierciadło nie może ich oddać — ono Ciebie obniża, w ciasnych Cię ramach zamyka, czyni Cię małą i niepokazną. Gdybyś jednak się mogła w moim duchu zobaczyć, jak wielką byś się ujrzała! Dla mego serca nie jesteś jakąś powszednią jednostką, jak sama sądzisz — a mojej jaźni odbiciem.

Sudarszana: Pozwól mi patrzeć choćby minutę Twojami oczyma! Czy nie istnieje dla Ciebie nic poza ciemnością? Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o tem. Czy ciemność ta sama, co dla mnie jest czemś oczywistem i silnem, jak nią śmierć tylko być może — czy miałaby ona dla Ciebie zupełnie nie istnieć? Jak może natenczas pomiędzy nami powstać wspólność jakowa i w takim miejscu, jak tutaj? Nie, nie — to niemożliwe: pomiędzy nami wznosi się jakaś zaporą: nie tu, nie, nie na tem miejscu. Muszę Cię znaleźć i tam Cię ujrzyć, gdzie widzę drzewa, zwierzęta, ptaki, kamienie i ziemię.

Krół: Owszem, możesz próbować mnie znaleźć, lecz nikt mnie Tobie nie wskaże. Jeżeli zdołasz, będziesz musiała mnie sama rozpoznać. A zresztą, jeżeli Ci nawet ktoś zechce mnie wskazać, kto da Ci pewność, że mówi prawdę?

Sudarszana: Poznam Cię pewnie, nie zamienię Cię z nikim. Odnajdę Cię nawet wśród mężczyzn miliona. Z pewnością się nie pomylę.

Krół: A zatem dobrze, dziś w nocy, podczas uroczystości przesilenia wiosennego próbuj mnie poznać, patrząc z wieży wysokiej mojego pałacu — niech oczy Twoje szukają mnie wpośród tłumu.

Sudarszana: Czy będziesz wśród niego?

Krół: Będę się tam i tu zjawiał, po każdej stronie, o Sudarszano!

Wchodzi Surangama.

Surangama: Co mi rozkażesz, o Panie?

Krół: Dziś w nocy święcić będziemy uroczystość przesilenia wiosennego.

Surangama: Co mam czynić tej nocy?

Krół: Dziś dzień jest świąteczny, nie zaś powszedni. Park kwitnie wspaniale — weź udział w tej uroczystości.

Surangama: Uczynię to, co mi każesz, Panie.

Krół: Królowa chce mnie tej nocy zobaczyć.

Surangama: Gdzie to się stanie?

Krół: Tam, gdzie muzyka wygrywać będzie najśodsze melodie, powietrze ciężarne zaś będzie od pyłku kwiatów, tam w gaju, zalanym światłem srebrzystem, skąpanym w mroku łagodnym.

Surangama: Co można tam ujrzyć, gdzie mrok i światło w chowankę się bawią? Tam wiatr szaleje, płąsy zawodząc, wszystko tańczy, z zawrotną szybkością się kręcąc — czy oczu to zmylić nie musi?

Krół: Królowa jest wielce ciekawa, ażali mnie znajdzie.

Surangama: Ciekawość spełźnie na niczem i w łzach się roztopi.

Ś p i e w.

Ach, one pragną latać, oczy nieukojnie, dzikie
 [ptaki lasu!
 Ale i dla nich zabije godzina pokory, zakończą
 się wzloty a gnać ich będzie muzyka upojna
 [i serca im krwawić.
 Biada wam, dzikie ptaki, tęskniące za puszcza!

III.

Przed parkiem.

Występują Awanti, Koszala, Kanczi i inni królowie.

A w a n t i: Czy król tej miejscowości nas przyjmie?

K a n c z i: Dziwny sposób rządzenia krajem. Król zabawia się w gaju, do którego ma dostęp najpospolitszy tłum.

K o s z a l a: Powinni byli zładzić na nasze przyjęcie szczególne miejsce.

K a n c z i: Jeśli on takiego miejsca jeszcze nie przygotował, zmusimy go do tego.

K o s z a l a: Wszystkie te okoliczności razem wzięte, nasuwają wątpliwość, czy lud ten ma wogóle króla — wygląda tak, jak gdybyśmy się dali uwieść bezpodstawnej pogłosce.

A w a n t i: Nie jest to wykluczone, jeśli rozchodzi się o osobę króla. Sudarszana jednak, królowa tej miejscowości nie jest chyba bezpodstawną pogłoską.

K o s z a l a: To też, gdyby nie ona, nie byłbym przybył. Nie robię sobie zazwyczaj nic

z tego, jeśli nie widzę kogoś, kto się nie pokazuje, byłoby jednak krańcową niedorzecznością, gdybyśmy stąd odeszli, nie ujrzawszy poprzednio tego, co jest bezsprzecznie godne widzenia.

Kanczi: Poweźmy tedy jakieś stanowcze postanowienie.

A wanti: Każdy plan ma to do siebie, że tak długo jest doskonały, jak długo niema się z nim osobiście nic do czynienia.

Kanczi: Do stu djabłów, co za hołota tam się wałęsa? He, co wy za jedni?

Występuje dziadek wraz z chłopcami.

Dziadek: Jesteśmy wesołym rojem hołyszów.

A wanti: Ten wstęp mogliście byli sobie całkiem dobrze podarować. A teraz zabierzcie się stąd i zostawcie nas w świętym spokoju.

Dziadek: Na brak miejsca nie możemy się nigdy skarżyć, możemy go wam tyle zostawić, ile wasze serce zapagnie. A ta kapinka, co do nas należy, nie stanie się chyba powodem kłótni. Czy tak, moi mili przyjaciele?

Śpiewają.

Śpiew.

Jesteśmy hołysze, nic nie posiadamy!
Śpiewamy radośnie trallerala! trallerala!

Istnieją ludzie, co domów mury wznoszą wysokie
Na bagnach złotych pustyni,

My zaś stajemy przed nimi i nucim
Trallerala! Trallerala!

Złodzieje się kręcą z przodu i z tyłu
I pożądlivym darzą nas wzrokiem.

My pokazujem im próżne kieszenie i nucim
Trallerala! Trallerala!

A śmierć jeżeli, złośliwy czarodziej pod nasze
[wkradnie się wrota

Pokazujemy jej figę bezczelnie,
I nucim chórem kręcąc się wkoło
Trallerala! Trallerala!

Kanczi: Popatrz się, Koszalo, co to za ludzie, którzy nadchodzą tą drogą? Czy pantomina? Jeden z nich kroczy w masce króla.

Koszala: Nie pozwoliłbym na te wszystkie wybryki, które znosi król tej miejscowości.
A wanti. Może to wódz tego kraju?

Nadciągają piesze strażę.

Kanczi: Z jakiego kraju pochodzi Wasz król?

Pierwszy żołnierz: Jest to król tego kraju. Wybrał się, by kierować uroczystością.

Idą dalej.

Koszala: Jaktó, król tego kraju przychodzi na uroczystość!

A w a n t i: Tak jest! W takim razie będziemy musieli zawrócić, ujrzawszy jego jedynie — nie zobaczywszy natomiast uroczej królowej.

K a n c z i: Czy sądzisz, że ten drab mówi prawdę? Każdy przecież może w takim bezpiecznym kraju udawać pana. Czy nie widzisz, że ten człowiek wygląda, jak wystrojony aktor, grający króla — przesadnie wystrojony?

A w a n t i: Ależ on robi ujmujące wrażenie — jego postać posiada pewien dziwny urok.

K a n c z i: Na pierwszy rzut oka może się nawet podobać, jeśli mu się jednak dokładniej przypatrzysz, nie będziesz miał żadnych wątpliwości co do niego. Zobaczysz, jak mu przed wami wszystkimi zedrę maskę.

Występuje fałszywy „Król“.

K r ó ł: Witam Was w moich dziedzińcach, książęta! Nie wątpię, że moi dostojnicy zgotowali Wam należyte przyjęcie.

K r ó ł o w i e (z *udaną uprzejmością*): O, tak, odbyło się przyjęcie.

K a n c z i: Widok Waszej Królewskiej Mości powetowałby nam zresztą wszelkie niedostatki.

„K r ó ł“: Nie mam zwyczaju ukazywać się publicznie, lecz Wasze wielkie przywiązanie i wierność skłoniły mnie do tego.

K a n c z i: Łaskawość Waszego Majestatu jest tak wielka, że trudno nam unieść jej ciężar.

„K r ó ł“: Obawiam się, że nie będę mógł tu długo pozostać.

K a n c z i: Pomyślałem już sobie poprzednio, że nie jesteś w odpowiednim do tego nastroju, o Panie.

„K r ó ł“: Skoro macie zamiar prosić mnie o jakąś łaskę...

K a n c z i: Owszem, mamy, wolelibyśmy jednak to uczynić w cztery oczy.

„K r ó ł“ (*do swego orszaku*): Oddalcie się! (*Oddalają się*). A teraz możecie mi bez osłonek oznajmić Wasze życzenia.

K a n c z i: To więcej jak pewne, że nie będziemy wstydlivi — zachodzi tylko obawa, żebyś nie uznał trochę więcej powściągliwości za dobre.

„K r ó ł“: Nie troszczcie się o to!

K a n c z i: Zbliż się tedy i złóż nam hołd, chyląc swą głowę do naszych stóp.

„K r ó ł“: Zdaje się, że moja służba zbyt hojnie rozdawała dziś podczas przyjęcia duchy Waruni.

K a n c z i: Fałszywy oszuście, jesteś do prawdy niesłuchanie bezczelny. Twoje usta wnet będą zcałowywać proch z ziemi.

„K r ó ł“: Książęta, nie przystoi Wam wyszydzać króla.

K a n c z i: Są tu ludzie, którzy jeszcze lepiej potrafią szydzić z Ciebie, Generale!

„K r ó l“ : Błagam Was, dajcie spokój. Wiem całkiem dobrze, że powinienem złożyć Wam hołd. Sama głowa moja słańia się do stóp Waszych — nie trzeba ostrych środków, ażeby ją schylić do ziemi. Otóż korzę się przed Wami. Jeżeli zezwolicie mi łaskawie wynieść się stąd, to zaraz sobie pójdę.

K a n c z i : Nie widzę potrzeby, ażebyś miał się stąd wynieść. Uczynimy Cię królem tej miejscowości i doprowadzimy w ten sposób naszą hecę do punktu szczytowego. Czy masz zwolenników?

„K r ó l“ : Mam, wszyscy, którzy mnie widzą na ulicy, gonią za mną. Kiedy miałem tylko niepokazny orszak, każdy patrzył na mnie z pod oka, lecz im bardziej wzrastał tłum, który mnie otaczał, tembardziej rozwiewały się i znikaly jego wątpliwości. Tłum zwykł bowiem upajać się swoją wielkością. Nie potrzebuję nic więcej czynić w tej mierze.

K a n c z i : Doskonale! Od tej chwili przyrzekamy Ci wszyscy pomagać i wiernie stać przy Tobie. Będziesz jednak musiał nam się odwzajemnić.

„K r ó l“ : Koronę, którą mi na skroń wkładacie, uważać będę za równie świętą, jak Wasze rozkazy.

K a n c z i : Jedyńem naszym obecnem życzeniem jest ujrzeć królowę Sudarszanę.

„K r ó l“ : Będę się o to starał wszelkiemi siłami.

K a n c z i : Ponieważ nie możemy mieć zaufania do Twoich usiłowań — będziesz się kierował wyłącznie naszymi poleceniami. A teraz idź sobie i weź udział w uroczystości, otoczywszy się wprzód jak najbardziej w oczy wpadającym blaskiem i przepychem.

Odchodzą

Występuje dziadek wraz z gromadą obywateli.

P i e r w s z y o b y w a t e l : Dziadku, ja na to nie poradzę, czy chcę, czy nie chcę, muszę powtarzać a choćby i pięćset razy — że nasz król to skończone oszustwo.

D z i a d e k : Dlaczego tylko pięćset razy? Nie widzę najmniejszego powodu, któryby mógł Cię skłonić do takiej nadzwyczajnej zaiste wstrzeźliwości — na Twojem miejscu powtórzyłbym to przynajmniej pięć tysięcy razy, gdyby mi to taką przyjemność sprawiało.

D r u g i o b y w a t e l : Nie możesz przecież wiecznie karmić się martwym kłamstwem.

D z i a d e k : A jeżeli ono uczyniło mnie dopiero żywotnym, mój przyjacielu.

T r z e c i o b y w a t e l : Oznajmimy całemu światu, że nasz król to kłamstwo, czczy, wierutny cień!

Pierwszy obywatel: Staniemy na dachach swoich domów i będziemy krzyczeć w świat, że nie mamy króla — a jeżeli on rzeczywiście istnieje, niech robi wtedy, co uważa za stosowne.

Dziadek: Lecz on nie będzie nic robił.

Drugi obywatel: Mój syn umarł przedwcześnie w dwudziestym piątym roku życia w przeciągu tygodnia na febrę. Czy byłoby mogło mnie spotkać takie nieszczęście, gdybyśmy mieli cnotliwego króla?

Dziadek: Tobie zostało przynajmniej dwóch synów; ja zaś straciłem wszystkich pięcioro dzieci, jedno po drugim.

Trzeci obywatel: Jaki więc wniosek wyciągasz z tego?

Dziadek: Jaki? Czy dlatego, że straciłem dzieci, mam stracić jeszcze króla? Nie uważajcie mnie za takiego okropnego durnia.

Pierwszy obywatel: Niema sensu sprzeczać się o istnienie króla, jeżeli umiera się równocześnie z głodu! Czy król nas uratuje?

Dziadek: Bratku, masz słuszność. Ale dlaczego nigdzie nie można było znaleźć króla, do którego należy wszystka żywność? Twoje narzekanie do tego z pewnością Ci nie pomoże.

Drugi obywatel: Przypatrz się tylko lepiej sprawiedliwości Twojego króla! Znasz wszakże Baderasena — wiesz jakie on robi rozzewniające wrażenie, jeżeli mówi o swoim królu —

ten sentymentalny osieł! A teraz zeszedł na taką biedę, że nawet nietoperze, które u niego komorują, zaczynają czuć się źle w jego mieszkaniu.

Dziadek: Poco iść tak daleko, popatrzcie tylko na mnie. Dniem i nocą mozolę się i pracuję dla mojego króla, a w nagrodę za to nie widziałem ani złamanego szeląga.

Trzeci obywatel: No, a co Ty na to?

Dziadek: A cóżbym miał na to powiedzieć? Czy opłaca ktoś swoich przyjaciół? Jeżeli chcecie, możecie, moi kochani, rozejść się na wszystkie strony i rozgłosić, że król nasz nie istnieje. To jest także część składowa ceremonji, stosowanych przy obchodzeniu tej uroczystości.

IV.

Wieża pałacu królewskiego.

Sudarszana i jej przyjaciółka Rohini.

Sudarszana: Mylisz się może Rohini, lecz ja się z pewnością nie myślę, bo czyż nie jestem królową? Ten naturalnie, ten tam, musi być królem.

Rohini: Ten, co Cię obdarzył tak wysoką godnością, nie zwlekałby tak długo z ukazaniem się Tobie.

Sudarszana: Jego postać wprawia mnie w taki niepokój, jakiego doznaje ptak w klatce. Czy usiłowałaś się dowiedzieć, kto on zaczął?

Rohini: Tak jest. Każdy, kogo o to pytałam, mówił, że to król.

Sudarszana: Król, lecz jakiego kraju?

Rohini: Naszego, król tego kraju.

Sudarszana: Czy mówisz z pewnością o tym, nad głową którego chwieje się parasol z kwiatów?

Rohini: O tym samym, na którego porpcu widnieje kwiat kimszuku.

Sudarszana: Poznałam go natychmiast! Tyś jednak miała wątpliwości.

Rohini: Jesteśmy omylni, moja królowo, obawiamy się jedynie wprowadzić Cię w gniew, skoro nie mamy słuszności.

Sudarszana: Chciałabym, by Surangama była tutaj! Z tą chwilą rozwiałyby się wszystkie nasze wątpliwości.

Rohini: Czy uważasz ją za mądrzejszą od nas wszystkich?

Sudarszana: O nie, lecz ona by go natychmiast poznała.

Rohini: Nie mogę w to uwierzyć. Twierdzi tylko, że zna go. Nikt nie może potwierdzić tego, że zna rzeczywiście króla. Gdybyśmy posiadali równy zasób bezczelności, co ona, moglibyśmy się równie dobrze chełpić naszą znajomością z królem.

Sudarszana: Ależ nie, ona się tem nigdy nie chełpi.

Rohini: Jest to najzwyczajniejsze udawanie w świecie, nic poza tem; zdąża do celu pewniejszą drogą, jak otwartem chełpieniem się. Niema łotrostwa, z którym by nie była obeznana. Dla tego nie mogłyśmy jej nigdy ścierpieć.

Sudarszana: Możesz mówić sobie, co chcesz; mimo to, gdyby tu była, chętniebym jej się spytała.

Rohini: Dobrze, królowo, zawołałam ją.

Będzie szczęśliwa, skoro się dowie, że jest niezbędna królowej do rozpoznania króla.

Sudarszana: Nie — nie o to idzie — chciałabym, by mi to cały świat potwierdził.

Rohini: Czy cały świat nie jest tego mnie-
mania, czy nie dolatują Cię radosne okrzyki
tłumu?

Sudarszana: Czyń zatem to, co ci każe.
Ułóż te kwiaty na liściu lotosu i zanieś je jemu.

Rohini: Co mam mu powiedzieć, jeśli
będzie mnie pytał, kto je posyła?

Sudarszana: Nie będziesz potrzebowała
nic mówić — będzie już wiedział. Sądził, że nie
zdołam go rozpoznać: nie mogę mu pozwolić
stąd odejść, nie pokazawszy mu wpierw, że go
poznałam.

Rohini odchodzi z kwiatami.

Sudarszana: Moje serce drży i kołata
dziś nocą, jak nigdy. Białe, srebrzyste światło
księżycy rozlewa się po niebie i rozsypuje się na
wszystkie strony, niejako pieniące się wino. Ogar-
nia mnie tęsknota, jakoby wzbierające upojenie.
Któż to?

Występuje służebnica.

Służebnica: Co rozkaże Wasza Mość?

Sudarszana: Czy widzisz tam wesołych
chłopców, śpiewających i kroczących przez man-

gowe aleje? Przywołaj ich tutaj, przyprowadź ich
do mnie, chciałabym posłuchać ich śpiewu. (*Stu-
żebnica odchodzi i wraca z chłopcami*). Przy-
bądźcie żywe obrazy młodością pachnącej wio-
sny, wnieście wasze radosne pienia. Moja dusza
i moje ciało rozbrzmiewa dziś nocą muzyką —
oddać jednak nie mogę tej niewypowiedzianej me-
lodji; a więc śpiewajcie i dla mnie.

Ś p i e w.

Moje cierpienie w słodyczy się nocy wiosennej
[rozpływa,

Mój ból podzwania w strunę miłości i jej wtóruje.
Przed moich tęsknych oczu zwierciadłem wstają
[postacie w zaświaty wzlatają.

Woń głębi lasu z memi snami się mięsza.

I dolatują słowa mych uszu skąd — nie wiem
[sama,

Naramienniki zaś moje biją w takt serca mojego.

Sudarszana: Dość, dość tego — nie
wytrzymam więcej! Wasza pieśń napędziła mi
łzy do oczu... Świta mi — że tęsknota nie odnaj-
dzie nigdy celu swojego — że nie powinna go
znaleźć! Co to za szalony pustelnik wyuczył Was
tej oto pieśni? O gdyby oczy moje mogły zo-
baczyć tego, którego pieśni słyszały me uszy!
O jak życzyłabym sobie, bym mogła w zachwy-
cie i uniesieniu przedzierać się aż do samego ją-

dra serca! Kochani chłopcy z pustkowie, jakże mam Was wynagrodzić? Ten naszyjnik jest tylko z klejnotów, z twardych kamieni — ich twardość ranić Was będzie — nie mam niczego, co równe by było tym wieńcom, które Was zdobią.

Chłopcy kłaniają się i odchodzą.

Występuje Rohini.

Sudarszana: Źle uczyniłam — źle uczyniłam, Rohini. Wstydzę się Ciebie pytać o to, co zaszło. Teraz zauważyłam dopiero, że niema ręki, co zdolna by była wręczyć największy podarek. Opowiedz mi wszystko!

Rohini: Kiedy wręczyłam królowi kwiaty, wyglądał tak, jakgdyby nie wiedział, o co się rozchodzi.

Sudarszana: To niemożliwe? On nie miałby wiedzieć?

Rohini: Nie; siedział jak manekin i nie wyrzekł ani jednego słowa. Sądzę, że w ten sposób próbował pokryć brak zrozumienia.

Sudarszana: Biada mi! Moja bezwstydnosc została słusznie ukarana. Dlaczego nie przyniosłaś mi moich kwiatów z powrotem?

Rohini: Jakże miałam to uczynić? Król Kanczi, bardzo sprytny człowiek, który siedział tuż obok niego, zrozumiał wszystko w okamgnieniu, uśmiechnął się pod wąsem i rzekł: „Cesa-

rzu, królowa Sudarszana przesyła Waszej Mości pozdrowienia za pośrednictwem tych kwiatów — kwiatów, poświęconych bogu miłości, przyjacielowi wiosny!“ Król, jakby się nagle ocknął, rzekł: „To jest ukoronowanie wszelkich piękności tej nocy“. Odwróciłam się już całkiem zmieszana do odejścia, gdy król Kanczi zdjął królowi naszyjnik z klejnotów i powiedział: „Przyjaciółko, ta ozdoba należy się Tobie, jako nagroda za szczęście, które ze sobą przyniosłaś“.

Sudarszana: Jakto? I Kanczi musiał tego wszystkiego uczyć króla! Biada mi, to nocne święto pograżyło mnie w hańbie i upadku. Czego innego mogłam się spodziewać? Opuść mnie, Rohini; łaknę samotności. *(Rohini odchodzi)*. Jedno silne uderzenie rozbiło całą mą duszę na drzazgi, a przecież... ta piękna, czarująca postać nie może mi wyjść z głowy! Dusza uleciała już omal ze mnie... Coś się we mnie rozbiło, pękło, stało się bezsilne, a ja nie mogę się od tego odwrócić. O, ciągle wzrasta we mnie ochota, by prosić Rohinię, aby darowała mi ten łańcuch! Co ona gotowa sobie pomyśleć? Rohini!

Przychodzi Rohini.

Rohini: Czego pragniesz?

Sudarszana: Jaką nagrodę winnam Ci za dzisiejszą usługę?

Rohini: Żadnej. — Dostałam należytą nagrodę od króla.

Sudarszana: To nie jest dar dobrowolny, lecz wymuszone wynagrodzenie. Nie chciałabym widzieć na Tobie czegoś, coby Ci dał ktoś, tak od niechcienia. Odłóż to, zostaw tutaj, a ja Ci dam wzamian zato moje naramienniki. Weź te naramienniki i odejź. (*Rohini odchodzi*).
Znowu porażka! Powinna byłam ten naszyjnik precz rzucić — a jednak nie mogłam! Wżera mi się tak w ciało, jakgdyby był wieńcem cierniowym — a przecież nie mogę go odrzucić. To ma być dar boga święta tej nocy — ten naszyjnik wstydu i hańby!

V.

Dziadek u wejścia do wili.

Dziadek: Czy mocno Was obsypali, przyjaciele?

Pierwszy mężczyzna: Bardziej, niż trzeba, dziadku. Przypatrz się, jestem od stóp do głów czerwony. Nikt przed tem nie uszedł*).

Dziadek: No? A czy obrzucili czerwonym proszkiem także i królów?

Drugi mężczyzna: Nikt nie mógł się do nich zbliżyć. Znajdowali się wszyscy na ogrodzonym miejscu.

Dziadek: W taki więc sposób Wam uszli! Czy nie mogliście rzucić na nich choćby trochę czerwonego proszku? Powinniście byli gwałtem do nich wymusić sobie dostęp.

Trzeci mężczyzna: Mój stary, dla nich przeznaczony jest inny rodzaj czerwieni. Ich oczy są czerwone; turbany ich straży i orszaku

*) Podczas indyjskiego święta wiosennego obrzuca się zwykle czerwonym proszkiem. W tym dramacie jest czerwony proszek symbolem namiętności miłosnej.

są również czerwone. A ci ostatni tak zaciekle wywijali mieczami w powietrzu, że gdybyśmy się byli nieco tylko zbliżyli, byłoby przyszło niechybnie do rozlewu krwi.

Dziadek: Dobrze uczyniliście przyjaciele — trzymajcie się zawsze w należytem oddaleniu. Oni są wygnańcami ziemi, a naszym zadaniem jest troszczyć się, by zawsze tak było.

Trzeci męczyzna: Wracam do domu, dziadku; północ już biła.

Odchodzi.

Zbliża się kilku nucących śpiewaków.

Pieśń.

Ustała różnica między czarnem a białem,
Wszystko czerwone się stało — czerwone, niczem
[Wasze malowane nogi,
Czerwony jest mój kubrak, czerwone sny moje,
A serce drży moje i się trzepoce, jak w wietrze
[lotos czerwony.

Dziadek: Świetnie moi przyjaciele, doskonale! Spędziliście przynajmniej kilka godzin przyjemnie!

Śpiewak: I jak jeszcze! Wszystko było czerwone, czerwone! Jedyne zawiódł nas księżyc: pozostał błądy.

Dziadek: Tylko na zewnątrz wygląda tak niewinnie. Gdybyście mu byli zdarli jego białą maskę, bylibyście się przekonali, co zeń za szelma. Przypatrywałem się, co za czerwone refleksy rzucał on tej nocy na ziemię. Pomyślcie sobie, jak przytem potrafił pozostać przez całą noc błądy i bezbarwny!

Śpiew.

Na Ciebie zawiałem się moje kochanie!
Moje serce jest szalem pijane i nie chce się poddać,
Czy sądzisz, że ujdiesz bez znaku,
Skoroś mnie obrzuciła proszku czerwienią?
Czyli nie zdołam Twej szaty ubarwić serca mojego
[pyłkiem czerwonym?

Odchodzi.

Wstępują „Król“ i Kanczi.

Kanczi: Musisz dokładnie wypełniać moje polecenia. Nie zrób tylko żadnego głupstwa.

„Król“: Nie zrobię.

Kanczi: Dom królowej Sudarszany znajduje się...

„Król“: Tak, Panie, zapamiętam sobie to miejsce.

Kanczi: Twojem zadaniem będzie podłożyć w ogrodzie ogień, wykorzystać powstałe wsku-

tek tego zamieszanie i w ten sposób na najkrótszej drodze dopiąć celu.

„K r ó l“: Wykonam wszystko według twoich wskazówek.

K a n c z i: Wiesz co, pretendencie, obawa nasza jest całkiem nieuzasadniona — w tym kraju niema istotnie króla.

„K r ó l“: Moim jedynym celem jest wyciągnąć kraj ten z odmetów bezładu. Prostack nie może obejść się bez króla, bez względu na to, czy on jest prawdziwy, czy nie! Bezład natomiast jest zawsze zarodkiem niebezpieczeństw.

K a n c z i: Cnotliwy dobroczyńco ludu; Twoje cudowne poświęcenie powinno nam wszystkim świecić przykładem. Mam zamiar wyświadczyć ludowi tę przysługę sam w własnej osobie.

VI.

W ogrodzie.

R o h i n i: Co tu się dzieje? Nie mogę się żadną miarą dowiedzieć, co to ma znaczyć! (*Do ogrodników*): Dokąd tak wszyscy śpieszycie?

Pierwszy ogrodnik: Opuszczamy ogród.

R o h i n i: Dokąd idziecie?

Drugi ogrodnik: Nie wiemy dokąd — król nas zawezwał.

R o h i n i: Jakto, król jest w tym ogrodzie? Który król was wezwał?

Pierwszy ogrodnik: Nie wiemy tego.

Drugi ogrodnik: Zapewne ten król, któremu służyliśmy całe życie.

R o h i n i: Czy wszyscy stąd odchodzicie?

Pierwszy ogrodnik: Tak, wszyscy — musimy natychmiast stąd odejść. Inaczej mogliśmy ucierpieć.

Odchodzą

R o h i n i: Nie mogę wyrozumieć ich słów... boję się. Uciekają stąd, jak spłoszone zwierzęta, umykające, zanim woda przerwie groble.

Zjawia się król Koszala.

Koszala: Rohini, czy nie wiesz, dokąd udał się Twój król i Kanczi?

Rohini: Są gdzieś w ogrodzie, nie wiem jednak, gdzie!

Koszala: Nie mogę rzeczywiście przejrzeć ich zamysłów. Źle uczyniłem, ufając Kancziemu.

Odchodzi

Występuje Awanti.

Awanti: Rohini, czy nie wiesz, gdzie się znajdują inni książęta?

Rohini: Trudno powiedzieć, gdzie który z nich bawi. Przeszedł tędy właśnie król Koszala.

Awanti: Nie miałem na myśli Koszali. Gdzie jest wasz król i Kanczi?

Rohini: Nie widziałem ich już od dłuższego czasu.

Awanti: Kanczi unika mnie stale. Zamierza zapewne oszukać nas wszystkich. Źle uczyniłem, mieszając się do tej całej historii. Przyjaciółko, czy nie zechciałabyś mi wskazać łaskawie wyjścia z tego ogrodu?

Rohini: Nie znam żadnego.

Awanti: Czy niema tu nikogo, ktoby mógł wskazać mi drogę.

Rohini: Wszyscy słudzy opuścili ogród.

Awanti: Dlaczego to uczynili?

Rohini: Nie mogłam dobrze wyrozumieć, co mieli na myśli. Powiedzieli mi, że król im rozkazał natychmiast ten ogród opuścić.

Awanti: Król? Co za król?

Rohini: Tego sami dobrze nie wiedzieli.

Awanti: To brzmi złowieszczo. Za wszelką cenę muszę stąd znaleźć wyjście. Ani chwili tu dłużej nie pozostanę.

Odchodzi spieszenie.

Rohini: Gdzie znajdę króla? Gdym mu wręczała kwiaty królowej, wydawało mi się, że robił sobie ze mnie niewiele; lecz od tego czasu zasypuje mnie darami i upominkami. Ta bezpodstawna hojność wzmaga jeszcze mój strach. Dokąd to lecą ptaki tak późną godziną. Co mogło nagle je spłoszyć? O tej porze nie lecą przecież nigdy... Dlaczego bieży łagodna łania królowej tą drogą? Czapata! Czapata! Nie słyszy nawet mojego wołania. Nie przeżyłam jeszcze nigdy nocy do tej podobnej. Widnokrąg czerwieni się nagle, jak oko szaleńca! Słońce wygląda, jakgdyby zachodziło o tej niezwyklej godzinie z wszystkich stron równocześnie. Co za szalony pomysł Wszchemogącego!... O, jak się boję!... Gdzie znajdę króla?!

VII.

U wejścia do pałacu królowej.

„Król“: Co uczyniłeś Kanczi?

Kanczi: Chciałem podpalić tylko tę część ogrodu, która przytyka bezpośrednio do pałacu. Nie spodziewałem się, że ogień tak szybko rozszerzy się na wszystkie strony. Wskaż mi natychmiast wyjście z ogrodu!

„Król“: Nie znam żadnego. Ci, którzy nas tu przywiedli, uciekli.

Kanczi: Jesteś tuziemcem — znasz więc zapewne drogę.

„Król“: Jestem pierwszy raz w życiu w ogrodach królewskich.

Kanczi: To mnie nic nie obchodzi — albo wskażesz mi drogę, albo Cię poćwiartuję.

„Król“: Pozbawisz mnie wprawdzie w ten sposób życia; lecz żeby to było najpewniejsze postępowanie do znalezienia wyjścia z tych ogrodów, tego nie mógłbym twierdzić z czystym sumieniem.

Kanczi: Dlaczego tedy rozpowiadasz wszystkim, że jesteś królem tego kraju?

„Król“: Nie jestem królem — nie jestem królem. (*Rzuca się na ziemię i załamuje ręce*). Gdzie jesteś mój królu? Ratuj mnie, o ratuj! Jestem buntownikiem — ukaraj mnie, lecz nie zabijaj mnie!

Kanczi: Ciekaw jestem, Co Ci z tego przyjdzie, że będziesz krzyczał w niebogłoty i bił pokłony? O wiele lepiej wyjdziemy na tem, jeżeli będziemy szukać drogi.

„Król“: Położę się tutaj i stąd się nie ruszę. Niech się dzieje wola Boża, ja nie będę narzekać.

Kanczi: Zakazuję Ci dokazywać takich głupstw. Jeśli mam już spłonąć, to musisz mi aż do samego końca dotrzymać towarzystwa.

Głószy z zewnątrz ogrodu:

— O, ratuj nas, ratuj nas, nasz królu! Wszystko stoi w płomieniach! Wszędzie ogień!

Kanczi: Durniu jeden, wstań szkoda czasu!

Występuje Sudarszana.

Sudarszana: Królu, o królu mój! Ratuj mnie, ratuj mnie od śmierci! Zewsząd otaczają mnie płomienie.

„Król“: Kto jest królem? Ja nie jestem królem!...

Sudarszana: Ty nie jesteś królem?

„Król“: Nie, jestem obłudnikiem, oszustem.

Ciska swą koroną o ziemię.

— Niechaj moja obłuda i mój fałsz spełzną na niczem.

Odchodzi wraz z Kanczim.

Sudarszana: Niema króla? On nie jest królem? W takim razie, Boże ognia, spal mnie, przemień mnie w proch! Rzucam się sama w twoje ramiona, wielki Oczyszcicielu; spal moją hańbę, mój wstyd, moją tęsknotę i w proch ją przemień.

Występuje Rohini.

Rohini: Królowo, dokąd podążasz? Wszystkie Twoje pokoje ogarnął szalejący ogień — nie wchodź tam!

Sudarszana: Tak, chcę wejść w te płonące komnaty! To mojej śmierci płomienie!

Wchodzi do pałacu.

VIII.

Ciemna komnata.

Król i Sudarszana.

Król: Nie trwoż się — niema powodu do obawy. Ogień nie dosięgnie tej sali.

Sudarszana: Nie trwożę się — lecz wstyd mnie ogarnął, niby szalejący ogień. Pali i niszczy moje oblicze, moje oczy, moje serce, każdą część mojego ciała.

Król: Przemienie pewien czas, zanim pozbędziesz się tego pożaru.

Sudarszana: Ten ogień nigdy nie zgaśnie — nigdy!

Król: Nie trać nadziei, królowo!

Sudarszana: O, królu, nie chcę niczego tać przed Tobą... Na szyji mej noszę łańcuch innego mężczyzny.

Król: I ten łańcuch jest mój — bo jakżesz inaczej mógłby on przyjść w jego posiadanie? Ukradł go z mojej komnaty.

Sudarszana: Lecz on mi go podarował; a przecież nie mogłam się zdobyć na to,

by rzucić ten łańcuch precz od siebie! Kiedy ogień wśród syku okrążał mnie zewsząd, myślałam o tem, by łańcuch ten rzucić ogniowi na pastwę. Lecz nie, nie zdążyłam. Mój duch szepotał: „Zatrzymaj ten łańcuch na sobie w godzinie śmierci...” Co to za ogień, o królu, do którego ja, com wyszła, by Ciebie ujrzeć, wskoczyłam jak mól, co nie może się oprzeć płomieniom! Co za straszne cierpienie, o co za walka śmiertelna! Ogień płonie z taką siłą jak nigdy, ja zaś kroczę żywa w jego płomieniach.

Król: Ujrzałaś mnie za to, wreszcie — zaspokoiłaś swoją tęsknotę:

Sudarszana: Czy szukałam Cię jednak w tej straszliwej chwili? Nie wiem, com widziała, a przecież moje serce kołace okrutnie w trwodze.

Król: Co widziałaś?

Sudarszana: Straszne — o, to było straszne. Drzę na samą myśl o tem! Czarny, czarny — o Ty jesteś czarny, jak noc wiekiu-sta! Rzuciłam na Ciebie jedno tylko wylekłe spojrzenie. Refleksy pożaru padały na Twoje oblicze — a Tyś wyglądał jak noc przeraźliwa w czasie, kiedy na niebie ku trwodze wszystkich zjawia się kometa — a potem przymknęłam oczy — nie mogłam znieść Twego widoku. Czarny, jak zagrażająca chmura, czarny, jak bezbrzeżne morze, w którego wzbudzonych falach kąpią się widmowe czerwone cienie mroku!

Król: Czy Ci nie powiedziałem, że nie zniesie ten mego widoku, kto nań się nie przygotował? Najchętniej uciekałby każdy przedemną na koniec świata. Zauważyłem to już mnóstwo razy. Dlatego chciałem objawić się powoli, stopniowo, a nie tak nagle.

Sudarszana: Naszedł mnie jednak grzech i obrócił w niwecz wszystkie Twe nadzieje — wszelką możność wspólności między mną a Tobą wykluczył.

Król: Stanie się ona z czasem możliwa, moja królowo! Ta sama zastraszająca ponura czarność, co tak srodze dziś Ciebie dręczy, stanie się dla Ciebie kiedyś krynicą pociechy i zbawienia. Bo do czego by przydała się w takim razie moja miłość?

Sudarszana: To niemożliwe, wykluczone. Co zmoże Twoja miłość sama. Moja miłość odwróciła się od Ciebie. Piękność pojmała mnie w swoje pęta, to szaleństwo, to upojenie nigdy mnie nie opuści — olśniła i rozpałała me oczy swym blaskiem, wtargnęła złotymi promieniami w sny moje! Powiedziałam Ci wszystko — a teraz ukaraj mnie według uznania.

Król: Kara już rozpoczęła się.

Sudarszana: A jeśli nie chcesz mnie karać, odepchnij mnie od siebie. Opuszczę Cię.

Król: Pozostawiam Ci jak najdalej idącą wolność rozporządzania swoją osobą.

Sudarszana: Nie mogę znieść Twojej obecności! Moje serce pieni się gniewem ku Tobie. Dlaczegoś to Ty był właśnie — dlaczegoś Ty to uczynił?... Dlaczego Ty jesteś taki? Dlaczego mówiono mi, że jesteś piękny i okazały? Jesteś czarny, czarny jak noc — nigdy, przenigdy Cię nie pokocham. Widziałam, to co kocham — jest ono łagodne i miękkie, czułe, jak kwiat szirisy, promienne jak motyl.

Król: A złudne jak fata morgana, a próżne jak mydlana bańka.

Sudarszana: Możliwe — nie mogę jednak stać obok Ciebie — całkiem poprostu nie mogę! Muszę stąd uciec. Współżycie z Tobą jest dla mnie niemożliwe. Nie byłoby to nic innego — jak związek oparty na fałszu — moja dusza odwraca się bezwzględnie od Ciebie.

Król: Czy nie chcesz jeszcze na pewien czas spróbować?

Sudarszana: Próbowалам od wczoraj — czem bardziej jednak próbuję, tem bardziej burzy się moje serce. Gdybym przy Tobie została, dręczyłaby i niepokoila mnie myśl, że jestem nieczysta i niewierna.

Król: A więc dobrze, możesz odejść sobie, gdzie Ci się podoba.

Sudarszana: Nie mogę przed Tobą uciec — właśnie dlatego, że mi nie przeszkadzasz, abym sobie poszła. Dlaczego mnie nie za-

trzymujesz, nie chwytasz za włosy i nie mówisz: „Zakazuję Ci odejść!“ Dlaczego mnie nie bijesz? O, ukaraj mnie, lżyj mnie, znęcaj się nademną! Lecz Twe bierne milczenie doprowadza mnie do wściekłości — o, nie zniosę tego!

Król: Czy sądzisz, że jestem w rzeczywistości taki spokojny? Skąd wiesz, że nie usiłuję Ciebie powstrzymać?

Sudarszana: O, nie, nie! — Nie zniosę tego — lżyj mnie głośno, rozkazuj głosem grzmotu, zmuszaj mnie słowy, coby zagłuszyły wszystko w mych uszach — nie puszczaj mnie tak spokojnie, tak łagodnie od siebie!

Król: Pozwalam Ci czynić, co ci się podoba, lecz dlaczego miałbym zezwolić na to, byś się odemnie oderwała?

Sudarszana: A więc nie pozwolisz mi odejść? Wszystko jedno, ja muszę odejść!

Król: Idź zatem!

Sudarszana: Nie będzie można mi tedy niczego zarzucić. Powinieneś był zatrzymać mnie siłą. Tyś tego nie uczynił! Nie przeszkodziłaś mi, a więc pójdę sobie. Rozkaż Twoim strażom, by mnie wypuściły!

Król: Nikt Ci nie będzie przeszkadzał. Możesz odejść sobie tak swobodnie, jak oddarty strzęp chmury, gnany przez burzę.

Sudarszana: Nie mogę się oprzeć więcej — coś, co wewnątrz jest, pcha mnie przed

siebie, wyrywa z korzeniami! Może zatone, nigdy jednak nie wróć!

Wybiega.

Występuje Surangama.

Surangama (*śpiewa*):

Cóż z Twoją wolą, która doszła mnie w dali?
Do Twoich stóp wracam z mojej wędrówki.
Twa miłość udaje, że jest obojętna —
Twe ręce czułe mnie odtrącają — ażeby mnie
[znowu przygarnąć!
O królu, co to za igra, którą Ty wiesz w Two-
[jem królestwie?

Sudarszana wraca.

Sudarszana: Królu, o królu!

Surangama: Odszedł.

Sudarszana: Odszedł? A zatem... ode-
pchnął mnie na zawsze! Ja wróciłam, a on nie
czekał ni chwili! Dobrze, jestem zupełnie wolna.
Surangamo, czy kazał Ci mnie zatrzymać?

Surangama: Nie, nic mi o tem nie mówił.

Sudarszana: Dlaczego miałby coś mó-
wić? Czy coś go obchodzi? Jestem wolna, wolna,
jak ptak. Wiesz, Surangamo, chciałam się króla
o coś zapytać, nie mogłam jednak tego pytania

wykrztusić w jego obecności. Powiedz mi, czy
ukarał on jeńców śmiercią?

Surangama: Śmiercią? Mój król nie ka-
rze nigdy śmiercią.

Sudarszana: A co z nimi uczynił?

Surangama: Puścił ich na wolność. Kan-
czy uznał swą klęskę i wrócił do swego króle-
stwa.

Sudarszana: Ach, co za radosna no-
wina!

Surangama: Królowo moja, mam jedną
prośbę do Ciebie.

Sudarszana: Tej prośby nie potrzebo-
wałaś wymawiać, Surangamo! Tak, czy inaczej
pozostawiłabym Ci wszystkie ozdoby i klejnoty,
otrzymane od króla — bo niegodna jestem, by
je nosić na sobie.

Surangama: Nie, nie potrzebuję ich, moja
królowo. Mój Pan nie obdarzył mnie nigdy żadną
ozdobą — zadawalnia mnie zupełnie moja pro-
stota. Nie dał mi nigdy niczego, czem mogłabym
się chełpić przed ludźmi.

Sudarszana: Czego chcesz więc ode-
mnie?

Surangama: Z Tobą chcę pójść kró-
lowo!

Sudarszana: Zastanów się nad tem co
mówisz; pragniesz porzucić swego pana. Rzeczy-
wiście, niezwykła prośba, jak na Ciebie!

Surangama: Nie oddalę się zbytńo od niego — jeśli odejdziesz stąd niespostrzeżenie, on będzie przy Tobie, tuż u Twego boku.

Sudarszana: Pleciesz głupstwa, moje dziecko. Chciałam wziąć Rohini ze sobą, lecz ona nie chciała. Co ci dodaje odwagi do wypowiedzenia tego życzenia?

Surangama: Brak mi odwagi i siły. Mimo to pójdę — odwaga przyjdzie sama z siebie, taksamo przyjdzie i siła.

Sudarszana: Nie, nie mogę wziąć Ciebie z sobą; Twoja obecność przypominała by mi bezustannie mą hańbę; nie zdołałabym tego wytrzymać.

Surangama: O moja królowo, przyswoiłam sobie nie tylko to, co jest dobre u Ciebie, lecz też to, co jest złe; czy będziesz się dalej obchodzić ze mną jak z obcą osobą? Muszę pójść z Tobą!

IX.

Król z Kanji Kubji, ojciec Sudarszany i jego minister.

Król z Kanji Kubji: Słyszałem o jej przyjściu.

Minister: Księżniczka czeka sama poza murami miasta, na brzegu rzeki. Czy mam wysłać ludzi na jej powitanie?

Król z Kanji Kubji: Jakto! Na powitanie tej, co sprzeniewierzyła się swemu mężowi i opuściła go — i Ty mi radzisz, bym roztrąbił na cały świat jej wstyd i hańbę, a potem zainscenizował jeszcze na jej część komedję.

Minister: Czy mam wydać jakieś rozporządzenia, co do urządzenia mieszkania dla niej w pałacu?

Król z Kanji Kubji: Nie czyń nic podobnego. Dobrowolnie rzekła się godności cesarzowej. Jeżeli pragnie pozostać w mym domu, będzie musiała pracować jak dziewczka.

Minister: Trudno jej będzie z tem się pogodzić, Wasza Wysokości.

Król z Kanji Kubji: Gdybym usiłował chronić ją od cierpień, nie godzien byłbym miana jej ojca.

Minister: Stanie się zadość rozkazom Waszej Mości.

Król z Kanji Kubji: Niech pozostanie w tajemnicy, że jest mą córką, inaczej nawiedzi nas straszne nieszczęście.

Minister: Dlaczego obawiasz się takiego nieszczęścia, o Panie?!

Król z Kanji Kubji: Jeśli kobieta schodzi z właściwej drogi, wtedy wydaje mi się obładowaną najstraszniejszym nieszczęściem. Nie masz wprost pojęcia, jakiej obawy nabawiła mnie ta moja córka; wróciła do domu, juczna niebezpieczeństwem i okropnościami.

X.

Wnętrze pałacu.

Sudarszana i Surangama.

Sudarszana: Odejdź, Surangamo! Wre we mnie śmiertelny gniew — nie mogę znieść nikogo — doprowadza mnie do wściekłości, kiedy widzę, jaka jesteś cierpliwa i uległa.

Surangama: Na kogo się gniewasz?

Sudarszana: Tego nie wiem; chciała-bym jednak widzieć wszystko pogrążone w ruinie i nieszczęściu! Jedna chwila, a opuściłam tron cesarski. Czy na to opuściłam wszystko, ażeby proch zmiatać w tej mrocznej jaskini, pocić się i mozolić? Dlaczego nie goreją wszędzie pochodnie żałobne? Dlaczego nie drży ziemia w posiadach? Czy mój upadek nie miałby być niczem innym jak tylko niespostrzeżonem przez nikogo spadnięciem grochu? Czyż nie możnaby go raczej porównać do upadku gwiazdy płomiennej, której żarzący się gorąc rozdziera niebo.

Surangama: Potężny bór dymi się i tli wewnątrz, nim staje w płomieniach; nie nadszedł jeszcze czas na to.

Sudarszana: Rzuciłam na proch i na wiatr godność królowej — niema jednak człowieka, który przyszedłby tutaj, ażeby odwiedzić smętną mą duszę? Samotna — o, jakże jestem przeraźliwie, okrutnie samotna!

Surangama: Nie jesteś samotna.

Sudarszana: Nie chcę niczego taić przed Tobą, o Surangamo. Wówczas gdy podpalił pałac, nie mogłam się gniewać na niego. Zrodziła się we mnie wielka radość wewnętrzna. Co za zbrodnia wspaniała! Co za szczytna odwaga! Ona to umocniła mnie i dodała otuchy. Ta okropna wesołość umożliwiła mi wszystko porzucić w sekundzie. To nie jest chyba urojenie? Dlaczego nie wraca?

Surangama: Ten, o którym myślisz, nie podpalił pałacu — uczynił to król Kanczi.

Sudarszana: Tchórz! Czy to możliwe? Taki uroczy, taki piękny, a mimoto tak niemięski! Czy miałabym sama się mamić z powodu tak bezwartościowej kreatury? O hańbo! Biada mi... Lecz Surangamo, czy nie sądzisz, że Twój król powinien być przyjść po mnie? (*Surangama milczy*). Czy myślisz, że chciałabym koniecznie wrócić? Nigdy! przenigdy. Gdyby król przyszedł nawet istotnie po mnie, nie wróciłabym. Ani razu nie zakazał mi odejść, a wszystkie bramy stanęły przedemną otworem, ażeby mnie wypuścić! A kamienista, kurzem pokryta droga, po której szłam — nie robiła sobie nic z tego,

że stąpa po niej królowa. Jest ona tak twarda i tak samo bez serca, jak król Twój, który nie robi różnicy między najniższym żebrakiem i najwyższą królową. Ty milczysz! A ja Ci powiadam, że zachowanie się Twojego króla jest — niskie, brutalne, haniebne!

Surangama: Każdy wie o tem dobrze, że król mój jest twardy i nieugięty, — nikt nie potrafił go jeszcze wzruszyć.

Sudarszana: Dlaczego przywołujesz go tedy dniem i nocą?

Surangama: Bodajby zawsze był twardy i nieugięty, jak głaz — bodajby łzy mojej prośby nigdy go nie wzruszyły! Pozwól mi zostać samej z mojem cierpieniem — a jego chwała i zwycięstwo niechaj będą wieczne!

Sudarszana: Patrz Surangamo! Wydaje mi się, że gdzieś zdala od wschodu zbliża się chmura kurzu.

Surangama: Tak, widzę.

Sudarszana: Czy nie jest to porzecz rydwanu?

Surangama: Istotnie, porzecz,

Sudarszana: W takim razie przybywa. Wreszcie przybył.

Surangama: Kto przybywa?

Sudarszana: Nasz król — a któżby inny! — Jakże potrafiłby żyć bezemnie! Dziwi mnie tylko, jak zdołał tyle dni wytrzymać.

Surangama: Nie, nie, to nie może być król!

Sudarszana: „Nie“. Doprawdy! Tak, jakbyś wszystko najlepiej wiedziała! Twój król jest twardy, zimny, nieugięty, nieprawda! Przekonamy się, jak twardy on być potrafi. Wiedziałam z góry, że przyjdzie, że przylezie tu za mną. Przypomnij sobie, Surangamo, że nie prosiłam go ani razu, ażeby do mnie przyszedł. Przekonasz się, czy nie doprowadzę Twego króla do tego, że uzna, iż poniósł klęskę! Wynijdź Surangamo i donieś mi o wszystkim! (*Surangama wychodzi*). Czy pójdę, jeżeli przybędzie i będzie mnie prosił, ażebym z nim powróciła? Z pewnością nie! Nie pójdę! Nigdy!

Surangama wraca.

Surangama: To nie jest król, moja królowo.

Sudarszana: To nie jest król? Czy jesteś pewna? Jakto! Czy jeszcze nie przybył?

Surangama: Nie, mój król nie wszczyną nigdy tyle hałasu, jeżeli nadchodzi. Nikt nigdy nie może przewidzieć, kiedy i gdzie on się zjawi.

Sudarszana: W takim razie jest to —

Surangama: Właśnie ten; nadchodzi z królem Kanczi.

Sudarszana: Czy wiesz jak się nazywa?

Surangama: Nazywa się Suwarna.

Sudarszana: A więc to on. Myślałam już: „Gniję tu, jak wyrzucone odpadki i śmiecie, których dotknąć każdy się wzdyga“. A tu nadchodzi mój bohater, by mnie wybawić. Czy znałaś przedtem Suwarnę?

Surangama: Kiedy przebywałam jeszcze w domu mego ojca, w jaskini gry —

Sudarszana: Nie, nie, takich rzeczy nie opowiadaj mi, nie chcę o tem słyszeć. Mój to bohater, mój to jedyny ratunek. Poznam go też i bez Twych opowiadań. Za to Twój król, to lepszy pan! Nawet mu się nie śni, by przyjść tu i wybawić mnie z tego poniżenia. Wobec tego nie możesz mi czynić żadnych wyrzutów. Nie mogę przecież strawić całego życia na czekaniu na niego, a w dodatku zapracowywać się jeszcze jak niewolnica. Nigdy nie potrafię być tak pokorna i uniżona, jak Ty.

XI.

Obóz.

Kanczi: *(do posłańców Kanji Kubji):* Powiedz Twojemu panu, aby nie uważał nas za gości. Jesteśmy w drodze powrotnej do naszych dzierżaw, a zatrzymaliśmy się tutaj, ażeby wybawić królowę Sudarszanę z poniżenia i niedoli, na jaką jest tu skazana.

Posłaniec: Wasza Wysokości, proszę nie zapominać, że księżniczka znajduje się w domu swojego ojca.

Kanczi: Córka może tylko tak długo pozostawać w domu swojego ojca, jak długo jest niezamężna.

Posłaniec: Stosunek jej jednak do rodziny ojca pozostaje niezmieniony.

Kanczi: Obecnie wyparła się wszystkich takich związków.

Posłaniec: Tak blizkiego pokrewieństwa nie można wyrzec się na tym świecie; węzły te mogą zostać chwilowo przerwane, nigdy jednak nie mogą być całkowicie zerwane.

Kanczi: Jeżeli król nie wyda mi dobrowolnie swojej córki, będę się widział zmuszony przez nasz kodeks sprawiedliwości, Kszatrija użyć gwałtu. To jest moje ostatnie słowo.

Posłaniec: Niech Wasza Wysokość nie zapomina o tem, że i naszego króla obowiązuje ta sama ustawa. Byłoby naiwne mniemać, że wyda on ze względu na Wasze groźby córkę.

Kanczi: Oznajmij Twojemu królowi, że przewidywałem taką odpowiedź!

Posłaniec odchodzi.

Suwarnar: Królu Kanczi, zdaje mi się, że za wiele stawiamy na jedną kartę.

Kanczi: Inaczej cała ta historia nie sprawiałaby mi przyjemności.

Suwarnar: Wprawdzie do wezwania Kanji Kubji do podjęcia walki nie trzeba być zbytnio odważny ale...

Kanczi: Jeżeli jeszcze zaczniesz mieć stracha przed każdym „ale“, to nie znajdziesz prawdopodobnie na całej kuli ziemskiej miejsca, które byłoby dla Ciebie dość bezpieczne.

Występuje żołnierz.

Żołnierz: Wasza Wysokości! Otrzymałem właśnie wiadomość, że królowie Koszala, Awanti i Kalinga nadszły wraz z swymi hufcami.

Odchodzi.

Kanczi: Otóż to, czego się tak obawiałem, wiadomość o ucieczce Sudarszany rozeszła się szybko; teraz każdy będzie darł się o nią, a z tego powstanie groźny pożar.

Suwarna: To nas do niczego nie doprowadzi, Wasza Mości! To nie są wcale pocieszające wieści. Jestem przekonany, że nasz cesarz sam rozpowszechnił wszędzie tę wiadomość.

Kanczi: Jakto, co za korzyść mógłby on mieć z tego?

Suwarna: Chciwi, gnani wzajemną nienawiścią pobijają się i zniszczą, — a on wykorzysta to i zbierze plony.

Kanczi: Teraz rozumiem, dlaczego Wasz król się nigdy nie okazuje. Jego finta polega w tem, że się wszechstronnie pomnaża — tak, że oczy bojaźni widzą go na każdym miejscu. Mimo to ważę się twierdzić, że Wasz król od stóp do głowy, to nic innego, jak jedno wielkie oszustwo.

Suwarna: Wasza Mości, racz mi pozwolić Ciebie opuścić.

Kanczi: Nie mogę się na to zgodzić, bo będziesz mi w tej sprawie potrzebny.

Występuje żołnierz.

Żołnierz: Wasza Wysokości! Nadcignęli Wirat, Panczal i Widarba. Rozbili swe namioty za rzeką.

Odchodzi.

Kanczi: Z początku musimy walczyć spotem. Dopiero po stoczeniu walki z Kanją Kubją, będziemy szukać wyjścia z tej trudności.

Suwarna: Proszę Cię, Panie nie wciągaj mnie gwałtem w Twe rachuby — będę najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, jeżeli zostawisz mnie w spokoju — jestem sobie ot takie nędzne, niskie stworzenie, — nic nie może —

Kanczi: Zrozum wreszcie, królu obłudników — drogi do celu nie są nigdy kryształowo czyste — ulice czy schody są przecież po to, by po nich deptać. Z posługiwania się ludźmi tego rodzaju, co Ty, ma się tę korzyść, że można obejść się bez maski i udawania. Jeżelibym chciał naprzykład naradzać się z moim ministrem, musiałbym być głupcem, gdybym nazwał przed nim kradzież po imieniu, zamiast mówić z namaszczeniem o dobrze publicznem. Pójdę teraz, by posuwać książętami, jak pionkami po szachownicy; rzecz oczywista, że gra nie może rozpocząć się, jak długo każdy rości sobie prawo do roli króla!

XII.

Wnętrze pałacu.

Sudarszana: Czy walka wre jeszcze?

Surangama: Gwałtowniej niż kiedykolwiek.

Sudarszana: Zanim mój ojciec ruszył w bój, przystąpił do mnie i rzekł: „Uciekłaś jednemu królowi, a pociągnęłaś za sobą siedmiu królów; najchętniej rozszarpałbym Cię na siedm kawałków i rozdzieliłbym je między książąt“. Dlaczego tego nie uczynił, Surangamo? — Gdyby Twój król mógł mnie wybawić, czy wzruszyłoby go moje obecne położenie?

Surangama: Dlaczego mnie pytasz o to, królowo? Czy mogę odpowiadać za mojego króla? Wiem tylko tyle, że mój umysł nie jest jasny i dlatego nie ważę się wydawać o nim sądu.

Sudarszana: Kto bierze udział w tej walce?

Surangama: Wszyscy książęta; jest ich siedmiu.

Sudarszana: Więcej nikt?

Surangama: Suwarna usiłował uciec — pokryjomu, zanim wszczęła się walka, Kanczi jednak przytrzymał go jako niewolnika w swoim obozie.

Sudarszana: O, bodajbym była umarła! O, królu, mój królu, czy byłaby zmniejszyła się Twoja chwała, gdybyś był przyszedł i pomógł mojemu ojcu! Jaśniejszą jeno i promienniejszą byłaby się stała. Czy jesteś pewna, Surangamo, że on nie przyszedł?

Surangama: Nie wiem niczego z pewnością.

Sudarszana: Od czasu, jak tu jestem, wydaje mi się często, jakgdyby ktoś grał na wi- nie pod moim oknem.

Surangama: Nie jest wykluczone, że ktoś zaklął miłość w muzykę.

Sudarszana: Pod oknem mojem są gęste zarośla — ilekroć słyszę muzykę, usiłuję się dowiedzieć, kto gra, nie mogę się jednak dowiedzieć.

Surangama: Może gdzie w cieniu spoczywa wędrowiec i gra na jakimś instrumencie.

Sudarszana: Możliwe, lecz przypomina mi się moje stare okno w pałacu. Przychodziłam tam się wyczaćnie wieczorem, przebrawszy się poprzednio i stawałam przy moim oknie a z zupełnej ciemności i mrocznego miejsca naszych schadzek płynęły akordy, pieśni i melodie, krą-

żyły i przewalały się w nieskończonej ciągłości i wezbranem bogactwie, jak roznamiętniona pełnia nieprzebranego źródła.

Surangama: O głęboka, słodka ciemności! Głęboka, tajemnicza ciemności, której byłam służebnicą!

Sudarszana: Dlaczego odeszłaś ze mną z owej komnaty?

Surangama: Gdyż wiedziałam, że pójdzie za nami i zabierze nas z powrotem.

Sudarszana: Lecz nie, nie przybędzie — opuścił nas na zawsze. Dlaczego nie miałby tego uczynić?

Surangama: Jeżeliby miał nas całkiem opuścić, w takim razie byłby zgoła niepotrzebny; natenczas stałaby się owa komnata próżna i pusta — wina nie wydawałyby dźwięków — niktby nie wzywał Ciebie ni mnie do tej sali; wszystko byłoby jeno złudzeniem i czczym snem.

Występuje oddźwierny.

Sudarszana: Kim jesteś?

Oddźwierny: Oddźwiernym tego pałacu.

Sudarszana: Powiedz mi szybko, co masz mi do powiedzenia.

Oddźwierny: Pojmano naszego króla.

Sudarszana: Pojmano? O matko ziemi!

Mdleje.

XIII.

Król Kanczi i Suwarna.

Suwarna: Powiadasz Panie, że walka między nami jest zbyt ciężka?

Kanczi: Nie bój się tylko. Nakłoniłem wszystkich książąt do tego, by się zgodzili, ażeby ten pojął królowę za żonę, kogo ona sama wybierze za męża, a wszyscy inni, ażeby zrzekli się dalszej walki.

Suwarna: W takim razie jestem Ci już niepotrzebny, o Panie — błagam Cię zatem! zwolnij mnie! Byłem już poprzednio niezdatny do niczego, grożące niebezpieczeństwo jeszcze więcej mnie osłabiło i zmąciło mój umysł. Nie będziesz miał tak czy tak ze mnie wielkiego pożytku.

Kanczi: Będziesz tu siedział i trzymał mój parasol.

Suwarna: Ja, Twój sługa jestem do wszystkiego gotów; lecz co za korzyść Ci to przyniesie?

Kanczi: Wierzę, że twój słabowity rozum nie żywi nadmiernie wysokich ambicji. Nie zauważyłeś jeszcze, z jakim upodobaniem spogląda na

Ciebie królowa. Ostatecznie, nie może w towarzystwie samych książąt zawiesić łańcucha zaręczynowego na szyi człowieka, który trzyma parasol, a przecież wiem dobrze, że nie potrafi przestać myśleć o Tobie. Takim sposobem znajdzie się na każdy wypadek ten łańcuch pod cieniem mojego królewskiego parasola.

Suwarną: Wasza Wysokości, snujesz dokoła mojej osoby niebezpieczne plany. Proszę Cię usilnie, nie wikłaj mnie w sieć tak chwiejnych zamierzeń. Proszę Cię pokornie, błagam Cię, puść mnie na wolność.

Kanczi: Gdy tylko osiągnę to, do czego zmierzam, wypuszczę Cię natychmiast. Jeżeli cel osiągnięty, niema sensu obciążać się środkami.

XIV.

Sudarszana i Surangama przy oknie.

Sudarszana: Czy muszę koniecznie udać się na zebranie książąt? Czy niema innego środka, by uratować życie mojego ojca?

Surangama: Tak powiedział król Kanczi.

Sudarszana: Czy słowa takie godne są króla? Czy płyną one z jego własnych ust?

Surangama: Nie, posłaniec jego, Suwarną, przyniósł tę wieść.

Sudarszana: Biada mi, biada!

Surangama: Wyciągnął kilka zwiędłych kwiatów i rzekł: „Powiedz Twojej królowej, że czem bardziej schną i wędzną te wspomniana święta wiosennego, tem bujniej i piękniej kwitną one w mojem sercu“.

Sudarszana: Dość! Ani słowa więcej! Nie dręcz mnie dłużej!

Surangama: Patrz! Oto siedzą książęta, zebrani na wielkim wiecu. Ten, co niema na sobie żadnych ozdób, prócz jednego wieńca dokoła

korony — to król Kanczi. A ten co trzyma parasol nad jego głową i obok niego stoi — to Suwarna.

Sudarszana: Czy to jest Suwarna? Czy jesteś całkiem pewna?

Surangama: Tak, znam go dobrze,

Sudarszana: Czy to możliwe, by to był ten człowiek, którego niedawno widziałam? Nie, nie — to, co widziałam, to było zmięszane, złane i stopione z światła i mroku, z tchnienia wiatru i woni — nie, nie to nie może być on; to nie on.

Surangama: Wszyscy jednak przyznają, że jest on niezwykle piękny.

Sudarszana: Jak mogłam się dać oczarować temu rodzajowi piękności? Co mam uczynić, by zmyć oczy z tego brudu.

Surangama: Będziesz musiała je skąpać w bezdennej ciemności.

Sudarszana: Lecz powiedz mi, Surangamo, dlaczego popełnia się takie błędy?

Surangama: Błędy są tylko przygrywką własnej zguby.

Posłaniec (*wchodząc*): Księżniczko, królowie oczekują Cię w hali. (*odchodzi*).

Sudarszana: Surangamo, przynieś mi zastonę. (*Surangama wychodzi*). O królu, mój jedyny królu! Dobrze uczyniłeś, opuszczając mnie! Czy jednak nie chcesz poznać najskrytszej wartości mej duszy? (*Wyjmuje z zanadru szty-*

let). Moje ciało splamiło się — ofiaruję go dzisiaj w prochu tej hali, w obliczu wszystkich książąt! Czy nie będę mogła Ci nigdy powiedzieć, że na dnie mego serca niema zmayı niewierności? Ciemna komnata, do której Tyś przyszedł, o Panie mój, ażeby być razem ze mną, leży dzisiaj opuszczona i próżna w mej piersi — a przecież, nikomu jej oddrzwia nie stanęły otworem, nikt do niej nie wkroczył, prócz Ciebie, o królu! Czy nigdy nie przyjdiesz, ażeby otworzyć jej bramy? Jeśli tak, to zeszlij na mnie śmierć, bo ona jest ciemna, jak Ty, a jej rysy są równie piękne, jak Twoje. Ona to Ty — Ty zaś nią jesteś, o królu!

XV.

Zebranie książąt

Widarba: Królu Kanczi, dlaczego nie nosisz żadnej ozdoby na sobie?

Kanczi: Bo nie żywię żadnych nadziei, mój przyjacielu. Kosztowności postawiłyby w ja-skrawszem jeszcze świetle moją kłeskę.

Kalinga: Za to człowiek, co nosi Twój parasol, wystroił się — pokryty jest od stóp do głów drogocennymi kamieniami i złotem.

Wirat: Król Kanczi chce w ten sposób dać do poznania, jak dalece uważa zewnętrzną piękność i wielkość za próżną i bezużyteczną. Zarozumiałość na męskie zalety, skłoniła go do odrzucenia wszelkich zewnętrznych ozdób.

Koszala: Połapałem się już na jego podstępnie, pragnie wykazać swoją wyższość przez to, że okazuje surową prostotę pomiędzy książętami, obsypanymi klejnotami.

Panczala. Jego mądrość nie wydaje mi się wcale tak bardzo godną pochwały. Każdy wie przecież dobrze, że oczy kobiety są podobne

do mola i że lecą na oślepienie na blask kamieni i złota.

Kalinga. Jak długo będziemy jeszcze czekać?

Kanczi: Nie bądź niecierpliwy, królu Kalinga — słodkie są bowiem owoce czekania.

Kalinga: Gdybym był pewny, że te owoce mnie przypadną, wytrzymałbym. Ponieważ jednak moje widoki skosztowania owoców są bardzo nieznaczące, rozpira mnie ciekawość ujżenia ich.

Kanczi: Jesteś jeszcze młody, stracone nadzieje wracają w Twoich latach, jak bezwstydną kobieta; my zaś mamy je już poza sobą.

Koszala: Czy nie zdawało Ci się, jak gdyby ktoś huśtał Twojem krzesłem? Czy nie jest to trzęsienie ziemi?

Kanczi: Trzęsieni ziemi? Nie wiem nic o tem.

Widarba: A może nadciąga znowu jakiś książę z swojemi hufcami.

Kalinga: Nic by nie przemawiało przeciw Twoim przypuszczeniom, jak tylko to, że nie doniósł nam o tem ani herold, ani posłaniec.

Widarba: Nie mogę uważać tego za dobry znak.

Kanczi: Człowiek, który się boi, widzi na każdym kroku same strachy.

Widarba: Nie obawiam się niczego prócz losu, przed którego obliczem nic nie znaczą ani waleczność ani bohaterstwo.

Panczala: Widarbo, nie zaciemniaj szczęśliwych zdarzeń tych dni Twojemi złemi wróżbami.

Kanczi. Mam zwyczaj, nie wciągać tak długo w rachubę rzeczy niewidzialnych, jak długo nie staną się widzialne.

Widarba: Wtedy jednak może już być za późno.

Panczala: Czy nie wszczęliśmy naszego dzieła w szczególnie przyrzekającej chwili!

Widarba: Czy sądzisz, że przez zaczęcie czegoś w pomyślnym czasie, ubezpieczasz się na przyszłość. Wygląda to tak, jak gdyby —

Kanczi: Lepiej byś zrobił, gdybyś nie wyjeżdżał co chwilę z tem swoim „jak gdyby“, jest to wprawdzie nasz własny wymysł, staje się jednak często naszym nieszczęciem i zgubą.

Kalinga: Czy nie słyhać skądś muzyki?

Panczala: Tak, to brzmi jak muzyka, całkiem wyraźnie nawet.

Kanczi: Musi to być królowa Sudarszana, która wreszcie nadchodzi. (*Na stronie do Suwarny*); Suwarno, nie chowaj się tak za mną i tak się nie kurcz. Doprawdy, parasol drży w Twojem ręku!

Występuje Dziadek w pełnej zbroi.

Kalinga: Kto to, kim jesteś?

Panczala: Co to za człowiek, co się odważa przekroczyć nieproszony próg tej sali?

Wirat: Zdziwiająca bezczelność! Kalingo, nie dopuść, by człowiek ten zbliżył się.

Kalinga: Jesteście wszyscy starsi odemnie — jesteście bardziej powołani do uczynienia tego odemnie.

Widarba: Posłuchajmy, co on nam powie.

Dziadek: Zjawił się król.

Widarba (*Zrywając się*): Król?

Panczala: Co za król?

Kalinga: Skąd przybywa?

Dziadek: Mój król!

Wirat: Twój król?

Kalinga: Kto to taki?

Koszala: Co masz na myśli?

Dziadek: Wszak wszyscy wiecie co myśle. Zjawił się.

Widarba: Zjawił się?

Koszala: W jakim celu?

Dziadek: Zaweźwał was wszystkich, byście przed nim stanęli.

Kanczi: Zaweźwał nas rzeczywiście? W jakiej formie raczył to uczynić?

Dziadek: Każdy może zrozumieć jego wezwanie według swego widzimisię — nikt wam

w tem nie przeszkodzi — jest on przygotowany na każdy rodzaj przywitania, byle móc jeno zadowolić wszystkich.

Wirat: A kimże Ty jesteś?

Dziadek: Jednym z jego generałów.

Kanczi: Generałem! Kłamiesz! Czy myślisz, że nas w ten sposób przestraszysz? Może wmawiasz sobie jeszcze, że nie widzę, co tkwi pod Twojem przebraniem? Znamy Cię wszyscy dobrze — a Tobie się zachciewa udawać przed nami „generała“!

Dziadek: Całkiem dobrze poznałeś mnie. Czy jest ktoś, ktoby był tak niegodny, być wysłannikiem mego króla, iak ja? A przecież każał mi wziąć tę zbroję i wysłał mnie tutaj? wybrał mnie, choć byli więksi generałowie i potężniejsi wojownicy.

Kanczi: Dobrze; zjawimy się przy pierwszej nadarzającej się sposobności i uczynimy to, czego wymaga przyzwoitość i uprzejmość — lecz obecnie zajęci jesteśmy pewną ważną sprawą. Będzie musiał czekać, dopóki nie załatwimy jej.

Dziadek: Mój król nie czeka nigdy, gdy raz wydał wezwanie.

Koszala: Jestem posłuszny jego wezwaniu i już idę.

Widarb: Kanczi nie mogę się zgodzić na Twój projekt czekania aż do załatwienia tej sprawy. Idę.

Kalinga: Jesteście starsi odemnie — uczynię to, co wy.

Panczala: Obróć się, księżę Kanczi, Twój parasol królewski wala się w prochu; nie zauważyłeś wcale, jak człowiek, który nosi Twój parasol, wymknął się.

Kanczi: Zgoda, generale. I ja idę — nie po to, by mu hołd złożyć, lecz by mu stawić czoło na polu walki.

Dziadek: Zastaniesz mego króla na polu walki — zaszczytne to wcale miejsce na Twoje przyjęcie.

Wirat: Baczność, przyjaciele, kto wie, czy nie uciekamy przed jakąś chimera — zanosi się na to, że i z tego Kanczi wyciągnie korzyść!

Panczala: Możliwe, jeśli się stoi tuż przed żniwami, jest rzeczą bezdennie głupią odejść, nie zebrawszy wprzód plonów.

Kalinga: Najlepiej zatem będzie przyłączyć się do króla Kanczi. Musi mieć gotowy plan działania i z góry wytknięty cel, jeśli na tyle się waży.

XVI.

Sudarszana i Surangama.

Sudarszana: Walka skończona. Kiedy przybędzie król?

Surangama: Nie wiem sama; wyglądam też, czy nie nadchodzi.

Sudarszana: We mnie wre taka radość, Surangamo, że mało mi piersi nie rozsadza. Lecz omal nie umieram ze wstydu; jakże mam stanąć przed jego obliczem.

Surangama: Zbliź się doń w pokorze, a wszelki wstyd zniknie w sekundzie.

Sudarszana: Muszę przyznać, że zdobyłam już jak najdalej idącą pokorę. Moja duma była temu winna, że pragnęłam mieć jak największy udział w jego miłości. Wszyscy twierdzili zawsze zgodnie, że posiadam niezwykłą urodę, niebywały wdzięk i zalety; wszyscy mówili mi, że król okazuje mi bezgraniczną dobroć — i to mi tak utrudnia skłonić me serce przed nim w pokorze.

Surangama: I ta przeszkoda zniknie.

Sudarszana: O tak, zniknie — nadszedł

już dla mnie dzień, ażebym upokorzyła się przed całym światem. Lecz dlaczego nie przychodzi król po mnie? Na co jeszcze czeka?

Surangama: Czy Ci nie mówiłam, że król mój jest okrutny i twardy — bardzo twardy nawet?

Sudarszana: Idź, Surangamo i przynieś mi wieści od niego.

Surangama: Nie wiem, dokąd mam się udać, by się czegoś o nim dowiedzieć. Prosiłam dziadka, by tu przyszedł; jeżeli przyjdzie, może dowiemy się czegoś od niego.

Sudarszana: O biada, mój losie nie-szczęśny! Do tego już doszło, że jeśli chcę się dowiedzieć czegoś o moim królu, muszę się innych pytać.

Wchodzi dziadek.

Sudarszana: Słyszałam, że jesteś przyjacielem mojego króla. Pozwól mi więc Ci się pokłonić i udzielić mi swego błogosławieństwa.

Dziadek: Co czynisz królowo? Nie pozwalam nikomu, by chylił się przedemną. Jedynym stosunkiem, jaki uznaję wobec drugich, to stosunek towarzyski.

Sudarszana: Uśmiechnij się przynajmniej do mnie — obdarz mnie dobrą wieścią. Powiedz mi, kiedy przyjdzie król, by mnie zabrać ze sobą.

Dziadek: Stawiasz mi trudne zaiste pytanie! Nie znam dróg, którymi kroczy teraz mój przyjaciel. Bitwa się skończyła, nikt jednak nie może powiedzieć, dokąd się udał.

Sudarszana: Czy odszedł?

Dziadek: Tu przynajmniej nie pozostawił żadnego śladu po sobie.

Sudarszana: Czy odszedł? I takiego człowieka zowiesz swoim przyjacielem?

Dziadek: Z tego powodu ludzie lżą go i podejrzewają. Lecz mój król sobie z tego nic nie robi.

Sudarszana: A zatem odszedł? O, o, jaki on twardy, jaki okrutny! Jest jak z granitu, a twardy jak djament. Usiłowałam go wzruszyć mem sercem — moja pierś pęka i krwawi się — i nie wzruszyłam go bodaj troszeczkę! Dziadku, powiedz mi, jak możesz żyć z takim przyjacielem?

Dziadek: Znam go — poznałem go w godzinach mojej radości, jakoteż w godzinach mych cierpień — dlatego też nie rozpaczam.

Sudarszana: Czy i mnie zezwoli on kiedy, bym go poznała?

Dziadek: Z pewnością. Tylko to go zadowolni.

Sudarszana: A więc dobrze, przekonam się, jak twardy on być potrafi! Stanę tutaj przy oknie i nie rzeknę ani słowa; nie ruszę się ani

na krok z tego miejsca; zobaczymy, czy on nie przyjdzie!

Dziadek: Młoda jesteś jeszcze możesz sobie pozwolić na to, by czekać na niego; dla mnie oznacza strata każdej chwili tygodnie; muszę pójść go poszukać, bez względu na to, czy go odnajdę, czy nie.

Odchodzi.

Sudarszana: Nie potrzebuję go — nie będę go szukać! Surangamo, nie potrzebuję króla! Dlaczego walczył on z książętami? Czy może dla mnie? Czy chciał w ten sposób dać dowód swego bohaterstwa i swojej siły? Odejdź, nie mogę znieść Twego widoku. Zrównaj mnie z prochem i jeszcze jest niezadowolony!

Gromada obywateli.

Pierwszy obywatel: Kiedy zobaczyliśmy, wielu się tutaj królów zebrało, spodziewaliśmy się, że wyniknie z tego rozrywka; tymczasem wszystko wzięło taki obrót, że nikt nie wie, co się wogóle stało.

Drugi obywatel: Czyście zauważyli, że nie mogli porozumieć się z sobą — jeden bowiem nie dowierzał drugiemu.

Trzeci obywatel: Wszyscy porzucili pierwotny plan; jeden zamierzał iść naprzód, drugi uważał cofanie się za korzystniejsze; jedni poszli na prawo, drudzy na lewo; tego chyba nie można nazwać walką?

Pierwszy obywatel: Każdy myślał sobie, czy dlatego mam polec, ażeby drugiemu umożliwić zebranie plonów.

Trzeci obywatel: Wszyscy musicie jednak przyznać, że Kanczi walczył jak prawdziwy bohater.

Pierwszy obywatel: Nawet długo po przegranej nie chciał się przyznać do klęski.

Drugi obywatel: Dopóki śmiertelny grot nie przebił mu piersi.

Trzeci obywatel: Lecz przedtem zdawał się wcale nie spostrzegać, że z każdym krokiem traci grunt pod nogami.

Pierwszy obywatel: Co do innych królów, to nikt nawet nie wie, dokąd uciekli; jedynie biednego Kanczego pozostawili na pobojo-wisku.

Drugi obywatel: Słyszałem, że nie umarł.

Trzeci obywatel: Nie, wyratowali go lekarze — lecz znak swej klęski będzie nosił wyryty na piersi do końca życia.

Pierwszy obywatel: Żaden z królów, którzy szukali szczęścia w ucieczce, nie umknął; wszystkich pojmano. Nie rozumiem jednak tego rodzaju sprawiedliwości, który do nich zastosowano!

Drugi obywatel: Słyszałem, że ukarano wszystkich z wyjątkiem Kanczego, któremu sędzia kazał zasiąść na tronie sprawiedliwości po swojej prawicy, poczem mu włożył koronę na skronie.

Trzeci obywatel: Coś niesłychanego, niebywałego.

Drugi obywatel: Taki wymiar sprawiedliwości, wydaje mi się, prawdę powiedziawszy, kaprysem i dziwactwem.

Pierwszy obywatel: Tak ma się też

rzecz istotnie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że największym grzesznikiem ze wszystkich jest król Kanczi; innych pchała naprzód chciwość i to tak długo, dopóki zdjęci strachem nie cofnęli się.

Trzeci obywatel: Co za sposób wymierzania sprawiedliwości, powiedzcie sami? Wygląda to tak, jak gdyby wypuszczono bezkarnie tygrysa, odciawszy mu tylko ogon.

Drugi obywatel: Gdybym był sędzią, czy sądzicie, że Kanczi chodziłby cało po bożym świecie; nawet by kości po nim nie zostały.

Trzeci obywatel: Od tego są oni nadsędziami i mają inne mózgi, jak my.

Pierwszy obywatel: Ja raczej pytałbym się, czy mają wogóle mózgi. Powodują się całkiem poprostu humorem, gdyż nikt im nic zato powiedzieć nie może.

Drugi obywatel: Możecie mówić, co Wam się podoba; jeżeliby władza spoczywała w naszych rękach, byłyby to z pewnością lepsze rządy od obecnych.

Trzeci obywatel: Co do tego, niema chyba wątpliwości. To się rozumie samo przez się.

XVIII.

Gościniec.

Dziadek i Kanczi.

Dziadek: Jakto, książę Kanczi, ty tutaj?

Kanczi: Twój król wysłał mnie na gościniec.

Dziadek: To jego stary zwyczaj.

Kanczi: A teraz nigdzie nie można go ujrzeć.

Dziadek: To także zaliczą do swoich przyjemności.

Kanczi: Jak długo będzie mnie jeszcze omijał? Kiedy nic nie mogło mnie skłonić do tego, ażeby uznać go królem, zjawił się nagle, jak straszna, gwałtowna nawałnica — Bóg sam wie, skąd i kiedy — i jednym atakiem rozpruszył me hufce, me konie i proporce; teraz zaś, kiedy go szukam po wszystkich kątach, ażeby mu złożyć hołd, nie mogę go nigdzie odnaleźć.

Dziadek: Może być nie wiem jak wielkim władcą, powinien się jednak do tego stosować, który mu się poddaje, nieprawda? Co robisz tu nocą, książę?

Kanczi: Nie mogę się pozbyć niezrozumiałego uczucia obawy, że ludzie mogliby mnie wyśmiać, widząc, jak składam kornie hołd Wazszemu królowi i przyznaję się do klęski.

Dziadek: To jest prawdziwe oblicze ludzi. To, co powinno ich wzruszyć do łez, wzbudza w nich tylko śmiech.

Kanczi: Lecz i Ty jesteś na gościńcu, dziadku.

Dziadek: Odbywam wesołą wędrówkę do kraju, co nosi nazwę: kraj, gdzie się wszystko traci.

Śpiew dziadka.

Całą mą jaźń wyteżam w nadziei, pragnąc wszystko
[utracić.

Czyham na rogu ulicy na tego, co kogoś wyrzuci
[na drogę,

Na tego, który się kryje, a widzi, na tego, który
[Cię kocha, choć o tem nic nie wiesz.

W tajemnej miłości Jemu me serce w dani
[złożyłem.

Całą mą jaźń wyteżam w nadziei, pragnąc wszystko
[utracić.

XIX.

Sudarszana i Surangama.

Sudarszana: Co za wyzwolenie, Surangamo, co za wolność! Meją klęsce zawdzięczam wolność. O, jak wielka była moja pycha! Nic nie mogło jej wzruszyć i usidłać. Mój zacięty umysł nie mógł pojąć najprostszej i najoczywistszej prawdy, że nie król do mnie, lecz ja do niego przyjść powinnam. Całą noc wczoraj czołgałam się samotnie w prochu pod oknem — czołgałam się tam beznadziejnie wiele godzin i płakałam! A całą noc wyły, i zawodziły i jęczały wiatry południa, tak jak ta męka, co toczy me serce; wciąż bez ustanku słyszałam głos ptaka nocnego: „Przemów, kobieto!” Brzmiał on wśród tego rozkiełzania przyrody, jak echo; Surangamo, były to bezsilne westchnienia tej ciemnej nocy!

Surangama: Ciężka, melancholijna atmosfera ostatniej nocy zdawała się przeciągać w nieskończoność — co za ponura, czarna noc.

Sudarszana: Nie wiem, czy mi uwierzysz — wydawało mi się, że słyszę, jak słodkie akordy winy płynęły poprzez ten hałas i zgiełk

rozszałały. Czy on, co jest groźny i straszny, może śpiewać tak słodko i czule? Wszystkim znana jest moja hańba i moje poniżenie — a przecież niczyje. Jak tylko moje serce mogło usłyszeć te akordy, co wzywały mnie w samotną, żalobną noc. Czy i Ty, Surangamo, słyszałaś tę winę? A może to było tylko złudzenie?

S u r a n g a m a : Nie odstępowałam Cię tylko dlatego, ażeby móc zawsze usłyszeć muzykę winy. Cały czas natężałam me uszy, by słyszeć tę muzykę, o której wiedziałam, że zabrmi znowu, ażeby przełamać wszelkie przeszkody miłości.

S u d a r s z a n a : Aż wreszcie wysłał mnie na gościniec — nie mogłam się oprzeć jego woli. Jeżeli go znajdę, powitam go temi słowy: „Przyszłam dobrowolnie — nie czekałam, aż po mnie przyjdiesz“. A potem powiem: „Dla Ciebie tylko stąpały me nogi po twardych, niedobrych ulicach, a całą drogę płakałam gorzko i bezustannie“. Przynajmniej tyle dumy będzie we mnie, jeżeli przyjdę do niego.

S u r a n g a m a : Lecz nawet i ta duma zniknie. On przyszedł przed Tobą — bo któż inny byłby Cię wysłał na gościniec?

S u d a r s z a n a : Może i tak jest w rzeczywistości. Jak długo panoszyło się we mnie uczucie urażonej dumy, tak długo prześladowała mnie myśl, że opuścił mnie na zawsze; kiedy jednak precz rzuciłam moją godność i moją pychę i wy-

szłam na ulicę, wtedy zdawało mi się, że i on tam był; znalazłam go z tą chwilą, z którą znalazłam się na ulicy. Teraz nie obawiam się już niczego więcej. Wszystkie cierpienia, które przez niego przeszłam, cała gorycz tych cierpień zbliża mnie do niego. Ach tak, przyszedł, wziął mnie za rękę. Tak jak zwykł to być czynić w owej komnacie ciemności, gdzie za dotknięciem jego ręki dreszcz chwytał me ciało; było to to samo, to samo dotknięcie! Kto śmie twierdzić, że jego tu niema? — Surangamo, czy nie możesz dojrzeć, że on tu przyszedł, w tajemnicy i milczeniu...? Kto to? Patrz Surangamo, tam trzeci wędrowiec kroczy tą ciemną drogą o tej nocnej godzinie.

S u r a n g a m a : Widzę, wiem już, to król Kanczi, królowo.

S u d a r s z a n a : Król Kanczi!

S u r a n g a m a : Nie obawiaj się, moja królowo!

S u d a r s z a n a : Obawiać się! Dlaczegożbym się miała obawiać! Dnie obawy już dawno dla mnie minęły.

Występuje Kanczi.

K a n c z i : Mateczko królowo, widzę Was obydwie na ulicy! Zdążam do tego samego celu, co Ty. Nie bój się mnie, królowo!

S u d a r s z a n a : Dobrze składa się, królu

Kanczi; pójdziemy razem, ramię przy ramieniu — tak być powinno. Spotkałam Cię wtedy, gdy opuszczałam mój dom, a teraz, kiedy doń wracam, spotykam Cię znowu. Nikomu nie byłoby wpadło nawet na myśl, że to nasze spotkanie kryć będzie w sobie tyle pomyślnych zapowiedzi na przyszłość.

Kanczi: Ależ, mateczko, królowo, nie przystoi Ci przecież wracać piechotą. Pozwól, a wystaram się o wóz dla Ciebie.

Sudarszana: O, nie mów tego; nigdy bym nie zaznała szczęścia, gdybym w mojej drodze powrotnej nie mogła stąpać po piasku tego gościńca, po którym odeszłam od króla. Sama bym się oszukała, gdybym jechała teraz wozem.

Surangama: Królu i Ty wędrujesz dzisiaj w prochu; nigdy kopyta końskie nie dotknęły się jeszcze tej ulicy.

Sudarszana: Gdy byłam królową, stąpałam po srebrze i złocie — a teraz pokutuję za moje urodzenie, krocząc po prochu i po nagiej ziemi. Nigdy nie śniło mi się nawet, że z każdym krokiem dzisiejszym zbliżę się o tyle do mojego króla — do mojego króla z prostej ziemi i prochu.

Surangama: Przypatrz się królowo; tam na wschodzie świta. Droga nasza ma się ku końcowi; widzę już złote wieże królewskiego pałacu.

Występuje dziadek.

Dziadek: Moje dziecko, świta — nareszcie!

Sudarszana: Twoje błogosławieństwo było mi pożegnaniem na drogę, a teraz jestem tu wreszcie.

Dziadek: Widzisz, jakie złe obyczaje ma nasz król? Nie wysłał po Ciebie ani wozu, ani kapeli, ni nic świetnego, czy wielkiego.

Sudarszana: Nic wielkiego, powiedziałaś? Popatrz, jak niebo czerwieni się i mieni w purpurze, a powietrze, jak nasycone jest cudnym zapachem.

Dziadek: Tak, lecz co do okrutności, nie możemy iść z naszym królem w zawody; serce mi pęka, kiedy Cię widzę w takim stanie, me dziecko. Jak można znieść ten widok, jak wejdziesz w tem nędznym, podartem odzieniu do pałacu królewskiego? Poczekaj chwilkę — pobiegnę i przyniosę Ci Twoje szaty królewskie.

Sudarszana: O nie, nie, nie! Na wieki zabrał mi te szaty królewskie — i w oczach całego świata przyodził mnie w suknie dziewczki; co za wyzwolenie było to dla mnie! Teraz jestem jego służebnicą, nie zaś królową. Chylę się dzisiaj do nóg tych wszystkich, co mogą twierdzić, że są mu krewni.

Dziadek: Lecz teraz wyśmieją Cię Twoi wrogowie; czy znieść potrafisz ich drwiny?

Sudarszana: Niechaj się śmieją i szydzą — niech błotem rzucają za mną po ulicach; oto to pudrem mi będzie, którym się ozdobię, nim stanę przed obliczem mojego Pana.

Dziadek: Wobec tego nie mam Ci nic więcej do powiedzenia. A teraz zakończmy nasze święto wiosenne — zamiast pyłku kwiatów, niech wionie wiatr południa, sypiąc proch nizkości na wszystkie strony. My zaś staniemy przed Panem, przyodziani w szarość prochu. Jego też zastaniemy, pokrytego od stóp do głowy prochem. Bo, czy sądzicie, że ludzie go szczczędzą? On nawet nie może ujść brudnym ich, zapruszonym ręką, on zaś o tem wcale nie myśli, by strzepać kurz z szat swoich.

Kanczi: Dziadku, nie zapominaj o mnie. I ja pragnę, ażeby moje ornaty królewskie przykrył proch tak grubą warstwą, by nikt ich nie mógł rozpoznać.

Dziadek: Do tego nie trzeba wiele czasu, mój bracie. A żeś spadł tak nisko, zmienisz wnet swoją barwę. Przyglądniej się tylko naszej królowej — oburzyła się sama na siebie i sądząc, że potrafi zniszczyć w ten sposób swoją niezwykłą piękność, odrzuciła swoje klejnoty; lecz to dobrowolne wyszydzenie własnej piękności spotęgało jeszcze dziesięciokrotnie jej urok, a teraz

stoi przed Wami w rozkwicie doskonałości. Nasz król twierdzi, że nie on jest przyczyną piękności — dlatego kocha wszelką piękność kształtu, promieniającą jako najcudniejsza ozdoba z jego piersi. A piękność ta zrzuciła dzisiaj zasłonę i płaszcz dumy oraz próżności! Czegobym nie dał za to, bym mógł usłyszeć tę cudną muzykę i śpiew, którym rozbrzmiewać będzie pałac królewski.

Surangama: Patrzcie, tam wschodzi słońce!

KSIEGARNIA,
SKŁAD NUT, OBYTELEK
i Dział Pogodowy
A. G. SYRIN
ul. Włocha № 45

XX.

Ciemna komnata.

Sudarszana: Panie, nie wracaj mi zaszczytów, któreś mi zabrał! Jestem Twych stóp służebnicą — nie szukam innego zaszczytu, jak tylko, by Tobie służyć.

Król: Czy zdołasz mnie znieść obecnie?

Sudarszana: O tak, potrafię. Twój widok odpychał mnie, bom Cię szukała w parkach, książących komnatach; tam Twój najniższy sługa jest okazalszy od Ciebie. Lecz ta gorączka tęsknoty opuściła mnie już na zawsze. Nie jesteś piękny, mój królu — bo wyższy jesteś nad wszelkie porównanie!

Król: To, co się da ze mną porównać, tkwi w Tobie samej.

Sudarszana: Jeżeli tak jest, to i to jest niezrównane. Twa miłość żywie we mnie — odzwierciedla się w tej miłości, a Twoje oblicze widzisz we mnie odbite; nic z tego nie jest, o Panie, moje, a wszystko jest Twoje!

Król: Otwieram dzisiaj na oścież bramy

ciemnej komnaty — gra się skończyła! Chodź ze mną, wyniź — na światło!

Sudarszana: Nim pójde, pozwól mi się pochylić do stóp mojego Pana ciemności, mojego okrutnego, mojego straszego, mojego niezrównanego!

KONIEC.



286530

SPIS OSÓB:

Król.
Sudarszana, królowa.
Król Kanji Kubji, ojciec Sudarszany.
Surangama, powiernica królowej.
Rohini, dama dworu królowej.
Suwarna, fałszywy król.
Kanczi
Awanti
Koszala
Kalinga
Widarba
Panczal
Wirat
Janardan.
 aundilja.
Bawadatta.
Wirupaksza.
Wiszu.
Kumba.
Madhaw.
Wiwajadatta.
inni obywatele.
Dziadek.
Chłopcy i śpiewacy.
Heroldowie królewscy.
Ogrodnicy.
Minister króla Kanji Kubji.
Stróż miejski.
Posłaniec.

} królowie.

